

WARSZATA

GŁOS KARCZEWA

PISMO MIASTA I GMINY KARCZEW

MIESIĘCZNIK
NR 3 (59)
MARZEC 1996 r.
Cena 50 gr (5000 zł)
ISSN 1233-2917



*Wielu radości w te Święta Wielkanocne oraz spełnienia budzących
się z wiosną marzeń i nadziei życzą wszystkim
Władze Miasta i Gminy oraz Redakcja.*

Komputeryzacja

Dziś kiedy rozmawia się o prawidłowym funkcjonowaniu urzędu, nikt już nie kwestionuje potrzeby zapręgnięcia do pewnych uciążliwych, aczkolwiek niezbędnych prac, komputera wyposażonego w odpowiedni program. Obraz urzędnika w żarzących ekranach już dawno odszedł w zapomnienie. Zresztą niewiele osób dziś wie co to są żarzący ekrany.

Coraz częściej na biurku pracownika urzędu zamiast sterty papierów gości klawiatura i monitor. Proces wchodzenia w nowoczesność w naszym gminnym urzędzie posuwa się powoli, mozolnie, ale naprzód. Ten fakt pozwolił nam jako gminie ominąć wiele niepotrzebnych kosztów z tym związanych. Początkowo, jak pamiętamy, na rynku informatycznym panowała prawdziwa wolnoamerykanka.

Było, jak to mówią – kto pierwszy, ten szerszy. Potem rynek zaczął się polaryzować i urząd wojewódzki, od którego otrzymaliśmy nieodpłatnie część oprogramowania, również określił się ostatecznie w tym względzie. Zresztą, pomijając powyższe, priorytety gminy w ostatnim pięcioleciu były inne. Gros pieniędzy z budżetu gminnego szło w nadrobienie inwestycyjnych zaległości i pokonywanie różnic infrastrukturalnych. W naszym urzędzie dotychczas funkcjonują cząstkowe programy: bądź zakupione ze środków własnych gminy, bądź przekazane nam przez wojewodę. Te ostatnie obsługują referaty wykonujące tzw. zadania zlecone np. referat komunikacji czy ewidencji ludności.

Kolejnym posunięciem w kierunku dalszej komputeryzacji jest wystąpienie pana Burmistrza naszej gminy do Urzędu Rejonowego w Otwocku z prośbą o dofinansowanie założenia bazy danych i nieodpłatne przekazanie programu dla ref. geodezji i gospodarki. Odpowiedź, którą otrzymaliśmy jest pozytywna. Licząc w sztukach, na terenie naszej gminy istnieje ponad osiem tysięcy pozycji rejestrowych. Również niebagatelną sprawą jest niemały obrót na rynku nieruchomości. Skomputeryzowanie tego referatu ułatwi nam życie w kontaktach z urzędem i skróci czas załatwiania tych spraw.

W najbliższym czasie planowane jest również założenie sieci w budynku urzędu, co z kolei pozwoli na pełniejsze wykorzystanie posiadanych informacji w procesie zarządzania gminą. W tegorocznym planie wydatków na ten cel Rada przeznaczyła 50.000 PLN. (J.S.)

Na okładce

Chrystus na krzyżu: obraz z kościoła Św. Wita w Karczewie. Niedawno został odnowiony i zabłysnął pełnią barw. W przewodniku „Otwock i okolice” z 1975 r. Lechosław Herz podaje, że jest to XVII w. kopia obrazu Petera Paula Rubensa (1577–1640). Według Towarzystwa Przyjaciół Karczewa płótno powstało raczej w pracowni Rubensa i jest dziełem jednego z jego uczniów. Tak czy owo – jest piękne.

Fot. Dariusz Broniszewski

Redakcja dziękuje księdzu Sylwestrowi Sienkiewiczowi za umożliwienie sfotografowania tego obrazu. Wymagało to specjalnych zabiegów technicznych.



Poznajmy się bliżej

Z inicjatywy Komendy Stołecznej Policji w ramach programu Bezpieczne Miasto został uruchomiony konkurs dla młodzieży szkół podstawowych woj. warszawskiego pod nazwą „Poznajmy się Bliżej”.

Do udziału w konkursie zostali zaproszeni uczniowie klas od czwartej do szóstej. Celem tej inicjatywy jest szerzenie informacji o działaniu policji w ogóle oraz edukacja i przestrzeganie dzieci przed grozącymi im niebezpieczeństwami na co dzień.

Konkurs posiada kilka stopni eliminacji:

I stopień odbywa się na terenie danej Szkoły Podstawowej i jest organizowany przez Dyrektora placówki.

W rezultacie szkoła wystawia 3 osobową reprezentację + 1 jako zawodnika rezerwowego. II stopień organizuje Komenda Rejonowa Policji.

III stopień eliminacji organizuje Komenda Stołeczna Policji.

Reprezentacja I stopnia powinna być wyłoniona do 29 marca b.r. i zgłoszona do Komendanta K. Malesy w Karczewie. Według informacji uzyskanych od przedstawiciela Komendy Rejonowej w Otwocku na wyższych szczeblach eliminacji wymagane są umiejętności sprawnościowe oraz posiadanie przez zawodników karty rowerowej.

Dla informacji podajemy, że w razie potrzeby na temat konkursu można się kontaktować z p. A. Niemirską lub p. W. Berlik numerem tel. 779-40-91 do 95 wew. 212

Życzymy powodzenia

O akcji „Bezpieczne miasto” – w następnym numerze

(J.S.)

Uwaga kredyt !

Dla pobudzenia inicjatyw lokalnych mających na celu przeciwdziałanie bezrobociu i zapoczątkowaniu zmian strukturalnych na terenach wiejskich, została podjęta inicjatywa wspólna dla Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa i PBK SA w Warszawie.

W związku z tym prosimy o wnikliwe zapoznanie się z poniżej zamieszczonym materiałem i poinformowanie Urzędu Gminy o ewentualnym zainteresowaniu Państwa proponowanymi warunkami kredytowania. Tel. 779-65-16 lub 77 96 536 z-ca Burmistrza J. Sawczuk.

Powszechny Bank Kredytowy SA w Warszawie

W nawiązaniu do przeprowadzonych rozmów dotyczących rozwoju działalności Powszechnego Banku Kredytowego SA na terenie gminy Karczew, uprzejmie informuję, iż Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa zwróciła się z propozycją podjęcia współpracy z PBK SA w zakresie wspierania realizacji przedsięwzięć tworzących na wsi nowe miejsca pracy.

W/w przedsięwzięcia polegałyby na kupnie, modernizacji, budowie i rozbudowie zakładów prowadzących działalność pozarolniczą w gminach wiejskich oraz w gminach miejsko-wiejskich.

Agencja objęłaby dopłatami do oprocentowania kredyty inwestycyjne udzielane ze środków banku na w/w przedsięwzięcia.

Przewiduje się, że przedmiotowe kredyty mogłyby być przeznaczane na produkcję, z wyłączeniem produkcji rolniczej i rybactwa śródlądowego, usługi i handel.

Przez pojęcie „produkcja rolnicza” ARiMR rozumie działalności wymienione w „Wykazie działalności w zakresie rolnictwa, przetwórstwa rolno-spożywczego, usług dla rolnictwa wspomaganych przez ARiMR w postaci dopłat do oprocentowania kredytów inwestycyjnych”.

O ww. kredyty będą się mogły ubiegać osoby fizyczne i prawne prowadzące lub podejmujące pozarolniczą działalność gospodarczą na terenach gmin wiejskich i miejsko-wiejskich.

Dopłaty Agencji byłyby stosowane w odniesieniu do kredytów, których oprocentowanie nie będzie wyższe niż 1,50 stopy redyskontowej weksli w stosunku rocznym. Należne bankowi odsetki płacone byłyby przez:

– kredytobiorcę, w wysokości połowy oprocentowania, o którym mowa wyżej,

– ARiMR, w pozostałej części.

Maksymalny okres kredytowania wynosić będzie 6 lat, przy maksymalnie 2 latach karencji w spłacie kapitału i 1 rok karencji w spłacie odsetek.

Kwota kredytu objętego dopłatami ARiMR nie mogłaby przekroczyć 60% wartości nakładów inwestycyjnych na przedsięwzięcie, nie więcej jednak niż 2 mln PLN.

W przypadku, gdy nowe miejsca pracy znajdują się na terenie miast położonych na terenach gmin miejsko-wiejskich, co najmniej 50% nowozatrudnionych osób musiało by zamieszkać na stałe na terenach wiejskich.

W przypadku podmiotów już funkcjonujących musiałyby być spełnione warunki, że pracodawca w okresie ostatnich 12 miesięcy nie zmniejszył zatrudnienia, chyba, że wynikało to z sezonowości produkcji lub usług.

Warunkiem ubiegania się o kredyt byłoby sporządzenie planu przedsięwzięcia i pozytywne zaopiniowanie go przez ODR właściwy dla miejsca jego realizacji.

Przedstawiając powyższe, uprzejmie proszę o przesłanie informacji dla II Oddziału PBK SA, dotyczących zapotrzebowania na terenie gminy na tego rodzaju formy kredytowania.

Z poważaniem
Andrzej Tuszyński
DYREKTOR ODDZIAŁU



Dobre chęci

28.02.br. odbyło się kolejne spotkanie przedstawicieli „Traktorexportu” i gminy Karczew. Rozmowy prowadzone od 1994 r. dotyczą jak wiemy obiektu zlokalizowanego przy ulicy Częstochowskiej 81 tzw. Centrum Techniki Radzieckiej. W rezultacie dotychczasowych negocjacji, dziś strona rosyjska, zobowiązała się wykupić grunt przez siebie użytkowany na własność oraz zapłacić należne gminie zaległości podatkowe. Obecnie po przezwyciężeniu trudności związanych z uzyskaniem zezwolenia na transfer stosowanej ilości pieniędzy z Rosji do Polski, należy jeszcze cierpliwie poczekać na odpowiedź MSW, od którego zgody zależy cała operacja zbycia przez gminę Karczew ww. gruntu.

W czasie trwania ostatniego spotkania Rosjanie nie ukrywali, że bardzo zależy im na jak najlepszych stosunkach z gminą oraz jak najszybszym prawnym uregulowaniu obecnej sytuacji. Mamy nadzieję, że to ponowne badanie sprawy przez Ministerstwo nie zajmie zbyt dużo czasu, że w kwietniu br. otrzymamy stosowną decyzję.

Gdyby okazało się, że odpowiedź MSW jest negatywna, a w Sejmie przejdzie nowela do obecnej ustawy dotyczącej możliwości zakupu gruntu przez cudzoziemców tzn. pozwalająca na zakup arealu do 1,0 ha bez zezwolenia tegoż MSW, to zaproponowano wykup gruntu znajdującego się pod budynkami i dzierżawę na określonych warunkach pozostałego gruntu. Mijemy nadzieję, że oczekiwana odpowiedź będzie na tak.

Jacek Sawczuk

Na zdjęciu: obiekt „Traktorexportu”

Podziękowanie

Byli pracownicy Urzędu Miasta i Gminy w Karczewie, przebywający na zasłużonych emeryturach i rentach, serdecznie dziękują panu Burmistrzowi Mirosławowi Pszonce, pani Sekretarz Alinie Przysowie, Radzie Miejskiej oraz Radzie Pracowniczej Urzędu za pamięć o nas i zapraszanie nas na coroczne spotkania Noworoczne.

Rada Miejska zainteresowana jest sytuacją i warunkami życia swych byłych pracowników, co daje się odczuć w czasie tych spotkań, stąd nasza wdzięczność. Pragniemy na łamach naszego lokalnego pisma złożyć wszystkim życzenia – Szczęść Boże w pracy zawodowej i życiu osobistym oraz Bóg zapłać za dobre serca.

Podpisali: wszyscy emeryci i renciści UMiG

Sprostowanie

W drugim numerze „Głosu Karczewa” pomyliłem stanowiska i funkcje dwóch osób uczestniczących w otwarciu Ośrodka Samopomocy Środowiskowej. Pani Ewa Krystosiak jest kierownikiem w Wojewódzkim Zespole Pomocy Społecznej w Warszawie, a pan Ireneusz Krzyżanowski – wiceprzewodniczącym rady miejskiej w Otwocku. Za pomyłkę serdecznie przepraszam.

Zbigniew D. Skoczek

Między jeziorem a Wisłą czyli Kępa Nadbrzeska

Jak odnowiono „obiekt sakralny”

Nawiązując do tekstu pana Zygmunta Zakrzewskiego z nr 1/57 „Głosu Karczewa” pragnę uzupełnić wiadomości dotyczące miejscowego „Obiektu Sakralnego”. Brak szczegółów w tej sprawie może być powodem podziałów w naszej społeczności. Zawrócono mi uwagę, jak byłem radnym, że na środku wsi stoi krzyż, którego ogrodzenie jest w stanie opłakanym, były to słowa zastępcy burmistrza Dariusza Łokietka. Sam krzyż był dębowy, postawiono go w 1930 r., ale wielokrotnie skracano i właściwie doszliśmy do wniosku, że trzeba go zmienić na nowy.

Na jednej z sesji rady miasta i gminy, w przerwie obrad, zapytałem burmistrza Mirosława Pszonkę czy dostanę pieniądze na budowę nowego krzyża. Burmistrz odpowiedział, że na krzyż tak. Mimo iż na remont i rozbudowę świetlicy było już przeznaczone sporo pieniędzy z budżetu. Urząd Miasta wystąpił pismo do Zakładu Mechanicznego (POM) Karczew z poleceniem wykonania krzyża metalowego. Z dyrektorem ZM ustaliłem jak ten krzyż ma wyglądać i jakie ma być do niego ogrodzenie.

Skontaktowałem się z proboszczem parafii św. Wita księdzem Sylwestrem Sienkiewiczem i powiedziałem, że stary krzyż nie nadaje się do remontu, drzewa dębowego na nowy nie mogę dostać, więc postawimy stalowy. Opowiedziałem, że wykona go POM i że za wykonanie zapłaci Urząd Miasta. Zaproponowałem księdzu poświęcenie krzyża w rocznicę postawienia tego pierwszego. Tamten ustawił 16 sierpnia 1930, a nasz miałby stanąć 16 sierpnia 1994 r. Ksiądz polecił, aby stary krzyż został w pobliżu miejsca gdzie stał – spalony. Tak też uczyniłem. Potem pojechałem do urzędu gdzie dzięki dużej pomocy pani Aliny Przysowy zamówiłem tabliczkę. Ja dostarczyłem materiał, a pani Ala znalazła odpowiedniego grawera. Odebrałem tabliczkę gotową po paru dniach.

Dzięki panu Bogdanowi Korzeniowskiemu, który cały swój urlop poświęcił na ten cel – wykonane zostało ogrodzenie i prace wykończeniowe przy krzyżu. Termin poświęcenia musieliśmy jednak przesunąć o tydzień. Do prac porządkowych zgłosiła się duża grupa młodzieży w różnym wieku. Przygotowaniem ołtarza zajęły się miejscowe kobiety. Msza odprawiona została 5 września 94r., celebrował ją proboszcz, a wzięli w niej udział m.in.: burmistrz Mirosław Pszonka, jego zastępca Dariusz Łokietek, przewodniczący rady Mirosław Dąbrowski.

Z figurką Matki Boskiej było podobnie. Oszkloną kopułę i oświetlenie wykonał Zakład Mechaniczny, a odnowieniem całości postumentu zajęli się: pani Krystyna Kabala i pan Stanisław Strzyżewski – wynajęli dobrego malarza i zapłacili za jego pracę.

Marian Gawin

Ogłoszenie

DŁUGOWIECZNOŚĆ!!!

Recepty konsultacyjne wydaje doświadczony i sprawny 91-letni Starolat
Telefon: 779-61-27

Chcesz dożyć swojego wieku – zadzwoń,
a dowiesz się jak tego dokonać!

BLASKI I CIENIE

Market-Mirad

Ładnie prezentują się domy mieszkalne (lub bloki, jak kto woli) na Ługach. Ja nie lubię określenia „bloki”, skąd ono pochodzi? Blok kojarzy mi się raczej ze skałą. To są domy, według mnie – wygodne dla mieszkańców, niewysokie, cztero- piętrowe (poza dwoma), wyposażone w niezbędne instalacje. Z każdej strony dużo światła, między domami sporo miejsca na place zabaw, na trawniki. Może najbardziej niewygodne są wąskie ulice, którymi trudno czasami przejechać. Było to na pewno duże niedopatrzenie i brak wyobraźni przy projektowaniu tego osiedla.

Ale domy pięknieją coraz bardziej, stają się kolorowe, dzięki pomysłowości mieszkańców. W lecie jest w koło coraz więcej zieleni, blisko las sosnowy i świeże, czyste powietrze napawa optymizmem. Problem jest jednak z parkingami, bo samochodów ciągle przybywa. Najlepszym, być może, rozwiązaniem byłby parking wielopiętrowy. Na taki parking potrzeba dużo mniej miejsca. Mogłby stanąć z boku osiedla. Taki parking znacznie łatwiej chronić. Nawet był przed laty taki projekt zgłaszany przez radnych z osiedla, ale jakoś nie zyskał poparcia, sprawy lokalizacji i finansowe oddaliły go prawdopodobnie na dalsze lata.

Muszę przyznać, że radni z osiedla dbają o sprawy swoich wyborców, a jest tych spraw bardzo wiele. Dotyczą: dróg, zaopatrzenia w ciepło, wodę, komunikacji, zdrowia, nauki. Coraz lepiej układają się stosunki karczewskiej ciepłowni z Otwocką Spółdzielnią Mieszkaniową. Komunikacja autobusowa działa jak dobry zegarek, jest wiele linii, połączenia do Otwocka i Warszawy są bardzo korzystne. Autobusy skutecznie wyparły drogie taksówki. Coraz większa jest też sieć punktów usługowych, przybywa dobrze zaopatrzonych sklepów, jak chociażby spo-

żywczy market firmy Mirad, niedawno otwarty, z miłą obsługą. To ułatwia mieszkańcom życie.

Na Ługach można już praktycznie kupić wszystkie artykuły niezbędne w mieszkaniu.

I pomyśleć jak to wszystko szybko się zmienia. Jeszcze parę miesięcy wcześniej obecny sklep Miradu był pomieszczeniem przypominającym garaż. A przecież perspektywy są dużo większe. Gdyby powstało osiedle Ługi II – z centrum handlowym, ośrodkiem rekreacyjno-sportowym, szkołą średnią, przedszkolem, licznymi domkami jednorodzinnymi – to znacznie podniosłoby rangę tego pustego dziś terenu na obrzeżach miasta od strony północno-zachodniej. Zawiązanie spółki akcyjnej Komplex – jak pisał red. Z. Skoczek – opóźniło się rzeczywiście, to prawda, ale może wkrótce nabierze wszystko właściwego tempa i roboty-ruszą wreszcie.

Jeszcze o lodowiskach

Nie mieliśmy tej zimy dobrego lodowiska w centrum, na skwerku obok OSP, ale obrodziły lodowiska na obrzeżach miasta. Zamarzły stawy przy stadionie i rzeka Jagodzianka, było lodowisko przy Szkole Podstawowej nr 1 – dzięki naszemu strażakom. Specie od gaszenia ognia nie zapomnieli również o mieszkańcach osiedla Ługi i na prośbę tamtejszego Komitetu Osiedlowego wylali lodowisko przy ul. Bema, były nawet bramki do hokeja, było wiele nadziei na korzystanie z tego lodowiska przez całą zimę, ale nieszety. Spadł śnieg i nie było komu go usunąć, ubił się, potworzył grudy uniemożliwiające jazdę na łyżwach. Tu młodzież z Ługów nie popisała się. To bardzo nieładnie, że zaniedbano to, co z takim trudem zrobili strażacy. Dziwię się, że rodzice i sami członkowie Komitetu Osiedlowego nie

podpowiedzieli młodzieży o obowiązku pielęgnacji lodowiska.

Teraz, kiedy już zagałę wiosna, trzeba pomyśleć o tym, aby plac po lodowisku na Ługach zagospodarować. Najlepiej byłoby zrobić tu małe boisko do siatkówki i do koszykówki czy badmingtona. Zachęcajmy my starsi młodych do treningu nie tylko w szkole, w klubie sportowym ale również na tzw. podwórkach, bo właśnie tu najczęściej rodzą się przyszłe sportowe talenty.

Potrzebny plan

Nici połączeń między starszą częścią miasta a nowym osiedlem, czyli Ługami, są coraz większe. Obserwujemy to na co dzień. Przykłady można by mnożyć. Wędrówki do urzędu, ośrodka zdrowia, szkół, przedszkoli, sklepów, do rodzin, do przyjaciół, to już codzienność. Gdy powstaną lepsze drogi, to przenikanie się dwóch społeczności będzie bardziej intensywne. Sam coraz częściej korzystam z różnych punktów usługowych na Ługach.

Przybywa też nowych mieszkańców osiedla i coraz więcej gości. Toteż informacja dla przyjezdnych powinna być bardziej wyeksponowana. Ługi liczą kilkadziesiąt domów, wiele ulic, to rozległy teren. A stary Karczew? To również nie jest to samo miasto co dziesięć lat temu. Potrzebne są tablice informacyjne w nowych osiedlach, ale nade wszystko niezbędny jest czytelny plan miasta i plan całej gminy. Ten, który stoi przy Rynku już nie wystarcza. Podobny powinien stanąć na Ługach. A najlepiej byłoby, aby plan miasta i gminy można było kupić w każdym sklepie. Nie ma również pocztówek z Karczewa.

Henryk Niedziółka



Śmieci inaczej

Śmieci – to chyba jeden z najczęściej ostatnio poruszanych tematów, nie tylko w prasie, ale również w radiu i telewizji.

I nic dziwnego, bo ilość odpadów jaką „produkuje” cywilizacja jest obrzymia i ciągle wzrasta.

Nasza gmina niczym nie różni się w tym od „reszty świata”. Śmieci przybywa, koszty oczyszczania miasta rosną, a wysypiska pękają w szwach. Segregowanie odpadów jest nieuniknione, a w wielu wysokoprzemysłowych krajach świata to już obowiązek.

Mając na uwadze te problemy, firma „OLAR” wraz z UMIG od wiosny 96 r. podjęła działania w kierunku selektywnej zbiórki i składowania odpadów przydatnych do wykorzystania.

Proponujemy Państwu segregowanie odpadów, które powstają w każdym gospodarstwie domowym. Segregowanie odpadów w efekcie

przyczyni się do ochrony środowiska, a co za tym idzie i naszego zdrowia.

Zróbmy ten pierwszy krok w kierunku którym zmierza cały świat. W tym celu zakupione zostaną (początkowo tylko kilka) kontenery odpowiednio pomalowane i opisane, z wlotami przystosowanymi do odpowiednich rodzajów odpadów użytkowych, takich jak: papier, szkło czy inne.

Zostaną one ustawione obok kontenerów do typowych śmieci komunalnych, tak abyśmy selekcji odpadów mogli dokonać nie tylko w domu, ale i przy pojemnikach.

Ponadto na tyłach ulicy Karczówek zostanie przygotowany teren (sortowania) do selektywnej zbiórki odpadów dla mieszkańców Karczewa. Umieścimy tam kontenery i przygotujemy miejsca odpowiednio oznakowane do składowania gruzu, gałęzi, szkła, złomu, makulatury i innych.

Złom będzie bezpłatnie zabierany z posesji po wcześniejszym zgłoszeniu do firmy „Olara”, doty-

czy to głównie starych karoserii samochodowych i innych elementów metalowych o dużych gabarytach.

Na koniec kilka uwag natury porządkowej:

1. Mieszkańcy Karczewa i Gminy Karczew odpady mogą wyrzucać bezpłatnie – w zamian prosimy o stosowanie się do zaleceń obsługi sortowni oraz talic informacyjnych.

2. Zwracamy się z prośbą o nieniszczenie kontenerów stojących na naszych ulicach i placach; szczególnie niebezpieczne jest ich podpalanie.

3. Opalony pojemnik oraz śmieci rozsypane wokół niego bardzo źle świadczą o nas samych i zdecydowanie obniżają estetykę naszego miasta.

4. Prosimy, aby do kontenerów stojących w mieście, a przeznaczonych na śmieci komunalne nie wkładać gruzu, gałęzi czy karoserii samochodowych.

5. Nie wysypujemy odpadów obok kontenerów w przypadku, gdy są już pełne, raczej poczekać aż zostaną opróżnione.

6. Jeżeli zauważymy pełny kontener, a mamy możliwość poinformowania firmy OLAR, zróbmy to, a będzie to z korzyścią dla nas wszystkich.

FIRMA OLAR

Kościuszki 31

tel. 779 64 79

Program selektywnej zbiórki odpadów rozpoczniemy wiosną 1996 r. O efektach oraz kolejnych krokach będziemy Państwa informować w następnych numerach Głosu Karczewa.

WYSYPISKO

9.02. br. w urzędzie gminnym w Piasecznie odbyło się drugie spotkanie w celu omówienia najbliższej przyszłości składowiska odpadów stałych w Łubnej.

W spotkaniu wzięli udział przedstawiciele wojewody, Zarządu Oczyszczania Miasta z Warszawy oraz delegaci kilkunastu gmin położonych po obu stronach Wisły, korzystających jak dotąd z wysypiska w Łubnej. Gwoli informacji, wysypisko to zostało zlokalizowane i udostępnione w minionym okresie, decyzją ówczesnych władz centralnych, bez oglądania się na warunki bezpieczeństwa, zgodę okolicznych mieszkańców i przyszłe skutki.

Kolejne ustawy, początkowo o ochronie przyrody (z późniejszymi nowelizacjami) przekształciły się w jednolity tekst ustawy o ochronie środowiska już w 1980 r. – lecz tylko na papierze.

Skutki tego stanu rzeczy są takie, że gminy, na których terytorium znajduje się składowisko, protestują przeciwko zatrutowaniu najbliższej okolicy składowiska przez jego wycieki i wszelkiego rodzaju wysięki (składowisko nie jest uszczelnione). W najbliższej perspektywie składowisko, o którym mowa, zostanie zamknięte – jest to koniec br. Dotychczasowy gospodarz składowiska, MPO widzi tylko zyski i nie myśli wywiązywać się z tej części umowy, która dotyczy zapobieganiu nadmiernej uciążliwości wy-

sypiska. Do tego dochodzą jeszcze trudności związane z dodatkowym obciążeniem transportem śmieci, od dawna i tak niewydolnej, sieci komunikacyjnej prowadzącej do składowiska. Nasza obecność na spotkaniu w Piasecznie wynika, jak wspomniałem, z faktu korzystania gminy ze składowiska w Łubnej, gdyż pomimo podpisania porozumienia ówczesnych Rad Narodowych w 1987 w celu zorganizowania i wybudowania wysypiska w Otwocku do budowy tej nie doszło. Dziś trudno dociekać dlaczego. Faktem jest, że RN Karczewa w początkach 1988 r. przekazała RN Otwocka prowadzącą całą inwestycję 25 milionów ówczesnych złotych. Całość przedsięwzięcia miała zakończyć się w 1990 r. Kontynuując: przy niekorzystnym układzie perspektyw dla naszej gminy jest wywóz odpadów do gminy Zielonka. Stanowisko gmin uczestniczących w spotkaniu jest jednoznaczne. Chcemy aktywnie uczestniczyć w rozwiązywaniu problemu, ale też i żądamy, aby nas traktowano na zasadach równorzędności. Koszty korzystania z dobrodziejstwa cywilizacji musimy ponosić, ale pod warunkiem, że ich wysokość jest określona na zasadzie rzetelności i niezbędnej minimalizacji. Dla pełności obrazu poniżej przedstawiamy tekst wspólnego wystąpienia.

(J.S.)

Piaseczno, dnia 20.02.1996 r.

Szanowny Pan

Marcin Świąciecki

Prezydent Miasta

Stołecznego Warszawy

Uprzejmie informuję, że w dniu 9 lutego 1996 r. w Piasecznie odbyło się kolejne spotkanie (poprzednie w dniu 29 sierpnia 1995 r.) przedstawicieli samorządów gmin korzystających z wysypiska śmieci w Łubnej w gminie Góra Kalwaria. Uczestniczyli w nim również przedstawiciele Wojewody Warszawskiego i Zarządu Oczyszczania Miasta. Lista uczestników w załączeniu.

Tematem spotkania była gospodarka stałymi odpadami komunalnymi w naszym regionie w związku z planowanym zamknięciem w 1996 roku eksploatacji wysypiska w Łubnej, a także z projektowaną budową zakładu utylizacji „Łubna II”.

Omawiana była również planowana zamiana faktycznego użytkownika wysypiska z Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania w Warszawie na Zarząd Oczyszczania Miasta oraz skutki finansowe i organizacyjno-prawne tej zmiany dla naszych Gmin.

W związku ze zmianą w bieżącym roku ceny składowania i tony śmieci na wysypisku w Łubnej, uprzejmie proszę o podanie nam struktury kosztów. Dotychczasowa praktyka, nie przedstawiania nam, jako użytkownikom tego wysypiska, składników cenotwórczych, jest nie do zaakceptowania przez Samorządy.

Proszę zatem o wyjaśnienie, czy wzrost ceny podyktowany jest wzrostem opłat ponoszonych przez m.st. Warszawę na rzecz gminy Góra Kalwaria z tytułu lokalizacji tego wysypiska; czy też inne przesłanki ekonomiczne wpłynęły na tę decyzję?

Jeżeli tak, to jakie?

Gmina Piaseczno (oprócz gminy Góra Kalwaria i Konstancin – Jeziorna) również odczuwa duże uciążliwości związane z lokalizacją tego wysypiska na tym terenie ze względu na nadmierne zatłoczenie drogi krajowej 723 (Warszawa – Góra Kalwaria) na odcinku Piaseczno – Góra Kalwaria. Jest to podstawowa trasa transportowa śmieci z Warszawy do Łubnej.

W związku z tym czy będą podjęte działania minimalizujące zagrożenie bezpieczeństwa ruchu na tej trasie?

Wynikiem wielowątkowej dyskusji są niżej przedstawione zagadnienia, co do których mieliśmy i mamy wątpliwości.

1. Zabezpieczenie samozamykającego się w 1996 roku wysypiska w Łubnej.

– Jakie zostaną zastosowane metody zabezpieczenia?

– Jakie będą koszty neutralizacji negatywnego oddziaływania wysypiska na środowisko?

– Kto tymi kosztami zostanie obciążony?

2. Program inwestycyjny zakładu utylizacji „Łubna II”.

– Jaki jest zakres podmiotowy i przedmiotowy całego przedsięwzięcia?

– Jaka lub jakie będą preferowane technologie utylizacji odpadów komunalnych?

– Czy obiekt ten będzie spełniał normy określone dla państw Unii Europejskiej?

3. Forma i sposób eksploatacji zakładu „Łubna II”.

– Jaki będzie charakter prawny podmiotu gospodarczego zarządzającego tym zakładem?

– Kto i na jakich zasadach będzie korzystał z tego obiektu?

– Kto i jak będzie ustalał strukturę kosztów utylizacji i tony śmieci w tym zakładzie?

Gminy uczestniczące w tym spotkaniu deklarują ewentualną partycypację w kosztach inwestycyjnych zakładu „Łubna II” proporcjonalnie do ilości mieszkańców w poszczególnych gminach.

Wyjaśnienie przedstawionych wyżej zagadnień pozwoli zainteresowanym Samorządom na wypracowanie właściwych kierunków działania gmin w zakresie ochrony środowiska naturalnego, zgodnych z obowiązującymi przepisami prawa.

Biorąc pod uwagę społeczną rangę poruszanych zagadnień, oczekujemy od Władz Warszawy stosownego odniesienia się do nich.

Będziemy wdzięczni za udzielenie nam odpowiedzi w miesiącu kwietniu br.

Z poważaniem

BURMISTRZ

Gminy Piaseczno

mgr Marian Żukowski

Sprawa Leszka B. nauczyciela Szkoły Podstawowej nr 2 staje się coraz bardziej głośna. Na pytanie – czy B. ma nadal pracować w karczewskiej „dwójce”? – Sąd Pracy odpowiedział – TAK!

Dzieci nie mają głosu

Tak przynajmniej stwierdziła jedna nauczycielka, która po przeczytaniu mojego artykułu pt.: „Prawo! Bezprawie!” zamieszczonego w „Więściach Podwarszawskich” postanowiła bronić „nauczycielskiej racji stanu”.

– Powinien pan najpierw porozmawiać z nauczycielami, z dyrekcją szkoły, a dopiero później atakować. Przecież pan też jest nauczycielem, jak pan może podważać autorytet innego nauczyciela? Kto panu dał do tego prawo? Atakując jednego nauczyciela przecież atakuje pan nas wszystkich! Czy się pan nad tym zastanowił?

Właściwie to mógłbym przemilczeć sprawę B. bo cóż ona może mnie obchodzić. Nie nad moimi bawami dziećmi przecież się pastwił. Klepsydre w szkole z jego imieniem, jako wyraz protestu przeciwko temu nauczycielowi, nie moje dzieci wywiesiły. Dlaczego więc zajmuję się tą sprawą? – Po pierwsze dlatego, że jestem nauczycielem pracującym z dziećmi specjalnej troski i każdą krzywdę wyrządzaną dziecku odczuwam w sposób szczególny; po drugie dlatego, że w swojej młodości miałem kilku nauczycieli, o których staram się zapomnieć, nauczycieli, którzy z uporem maniaka starali się ze wszech miar obrzydzić mi szkołę. Robili to w dobrej wierze, tylko zapomnieli, że ani metoda kija, ani metoda marchewki, stosowane oddzielnie nie mają żadnego pozytywnego wpływu na wychowanie, a wręcz odwrotnie. W swoim życiu miałem także wspaniałych pedagogów, o których nigdy nie zapomnę. Zresztą takich osób jak pani Wanda Bromińska, czy pani Godlewska, nie sposób zapomnieć.

Kim właściwie jest Leszek B. – jest on nauczycielem geografii, który ukończył wyższe studia i ma stopień specjalizacji. Nikt nie ma wątpliwości, że człowiek ten posiada duży zasób wiedzy. Dlaczego więc tak często i tak chętnie się z nim w różnych placówkach oświatowych rozstawano? Dlaczego również dyrekcja Szkoły Podstawowej 2 walczy o to, by pan B. nie powrócił do pracy w tej szkole? Przecież gdyby to był wspaniały pedagog, żaden z dyrektorów nie zechciałby się rozstać z takim pracownikiem?

Najwięcej o B. dowiaduję się od rodziców, między innymi z terenu Otwocka. Wszyscy są jednak oszczędni w słowach. – To jest człowiek, który może nie tylko zrobić awanturę i na ulicy nawymyślać, on może sadzić się również do bicia – wyznaje jedna z matek.

– Moją córkę uczył w klasie piątej. Początkowo nie wiedziałam dlaczego ona nie chce chodzić do szkoły. Były dni kiedy szła bez problemów, ale były również i ta-

kie, kiedy dostawała gorączki. Nie wiedziałam co się z nią dzieje. Ona też nic nie mówiła. Czułam, że to coś ze szkołą, ale nie wiedziałam co. Przeniosłam więc córkę do innej szkoły. Dopiero po paru miesiącach się dowiedziałam, że pan nauczyciel na każdej lekcji się z niej wyśmiewał. Do klasy trzeciej była jedną z najlepszych uczennic. W klasie czwartej, dzięki geografii, stała się jedną z gorszych. Dopiero w nowej szkole wszystko wróciło do normy.

W Karczewie rodzice nie chcą właściwie na ten temat rozmawiać.

– I po co to panu – wyjaśnia mi jeden z ojców – by, poszedł i dzięki Bogu, że się wreszcie dzieciaki z tym (...) nie będą musiały męczyć.

– Miejmy nadzieję – wzdycha matka jednego z uczniów – że on do naszej szkoły już nie wróci. Nie jestem za tym, żeby dzieci występowały przeciwko nauczycielowi, ale jeżeli B. wróci, a mój chłopak nie będzie chciał chodzić na jego lekcje, to nie będę się sprzeciwiała. Zresztą nie tylko ja jedna tak myślę. Ciekawa tylko jestem jak to się stało, że B. trafił do Karczewa, przecież w Otwocku ma strasznie zaszarganą opinię, a Karczewa z Otwockiem, jak na razie, Mur Chiński nie oddziela.

Ja to się stało, że B. znalazł się w Karczewskiej szkole – nie wiem, i może to nawet lepiej, że nie wiem. Ważne że się tu znalazł i uczył jak rzep psiego ogona.

Oczywiście można by było zakończyć ten artykuł apelem do dyrektorów karczewskich szkół, by w przyszłości lepiej dobierali sobie współpracowników, ale jest to zbyt bezcelne. Przecież wiadomo, że jeszcze nie jeden raz trafi się nam taki, z którym dzieci będą musiały się męczyć, a wszyscy dorośli dookoła, wraz z dyrekcją, będą się zachwycali i mówili – jaki to wspaniały nauczyciel, – jak wspaniale wy maga, – zamęczy a nauczyciela, – godny wzór do naśladowania dla innych. I tylko dzieci będą na jego widok dostawać torsji. Powiecie Państwo zapewne, że się mylę, że przecież jednak trzeba wszelkimi sposobami spowodować by dzieci się uczyły, że wymagania wsparte silną ręką to podstawa – odpowiadam więc – podstawą jest autorytet nauczyciela, jego wiedza, postępowanie w dziecku partnera, przyjaciela, współpracownika. Jeżeli jednak ktoś uważa, że w nauczaniu podstawą jest zamordyzm, a miernikiem postępów w nauce mniejsza bądź większa kara, niech się nie dziwi, że dziecko czasami powie – NIE!

Krzysztof Kasprzak

Nauczyciel geografii Leszek B. znany jest w gronie pedagogicznym Otwocka, Karczewa, a nawet Warszawy. Przynajmniej w tych dwóch pierwszych miastach ma on bardzo złą opinię. Nikt nie zarzuca mu braku wiedzy, natomiast panuje całkowita zgodność, że pan B. swej wiedzy dzieciom przekazać nie potrafi, ale egzekwuje ją od uczniów i to metodami dość niekonwencjonalnymi w naszej epoce, uciekając się nawet do rękoczynów. W Otwockich szkołach, a „zaliczył” m.in. szkoły podstawowe nr 2, 3 i 4 mówi się o nim, że pedagogiem z całą pewnością nie jest, gdyż nie potrafi zyskać sobie sympatii ani uczniów, ani rodziców, wprowadza na lekcji terror, do uwag rodziców odnosi się lekceważąco, a przy egzaminach stosuje stresujące dzieci pułapki, gdyż jego ulubioną oceną była niegdyś dwójka, a obecnie jest nią jedynka. Nauczycielka ze Szkoły Podstawowej nr 4 dała panu B. ocenę podsumowującą – to sadysta.

Właśnie grono pedagogiczne SP nr 4 w Otwocku doprowadziło do tego, że kuratorium zmuszone było – z ogromnymi oporami – ocenić Leszka B. i nałożyć na niego karę dyscyplinarną w postaci zakazu pracy w placówkach

oświatowych na terenie Otwocka. Miało to miejsce na przełomie dekady lat osiemdziesiątych, a bezpośrednim powodem kary było to, że pan B. po prostu pobił swych uczniów. W Otwocku pracować nie mógł, mógł w Warszawie.

Jest czymś niezrozumiałym, przynajmniej dla mnie, że facet który ewidentnie nie nadaje się do tej pracy, chociażby dlatego, że nie potrafi panować nad nerwami, otrzymuje zakaz wykonywania zawodu w jednym mieście, ale może nadal bić dzieci w innym.

B. na czas kary przeniósł się więc do Warszawy i być może pozostałby tam, gdyby nie to, że dyrektorka Szkoły Podstawowej nr 2 w Karczewie, poszukując kogoś do nauki geografii, wystawiła ogłoszenie do kuratorium, gdzie Leszek B. przeczytał go chyba jako pierwszy, niczego bowiem tak nie pragnął, jak wrócić z zesłania bliżej swego rodzinnego Otwocka. Wystąpienie ogłoszenia nie było błędem dyrektorki, to jest

normalna droga postępowania. Kuratorium, mimo iż w moim przekonaniu to twór na kształt zombi, jednak jest jednostką nadrzędną. Błędem było nie zasięgnięcie opinii o panu B. wśród otwockich pedagogów, chociaż i to można zrozumieć – przychodził przecież ze stolicy, a nie z ościennego miasta i miał świetny argument, chciał pracować bliżej domu, aby nie dojeżdżać tak daleko i mieć więcej czasu na kontakty z dziećmi. Sam bym się nabrał. Też nie cierpię jeździć do Warszawy, a muszę. Coś musiało jednak być na rzeczy, skoro podpisano z nim umowę na rok.

Leszek B. rozpoczął pracę w Karczewie w 1994 r. Wyglądało na to, że szkoła zrobiła dobry interes; miał dyplom wyższej uczelni, stopień specjalizacji, ujmującą powierzchowność. Ale już pod koniec września dyrekcję zaczęło coś niepokoić – w klasach, które uczył, pojawiła się zatrważająca liczba ocen niedostatecznych.

– Zaczęłam z panem Leszkiem serdeczną rozmowę – wspomina dyrektorka Danuta Trzaskowska – szczególnie mi zależało na klasach ósmych, które miały opuścić szkołę, chciałam, aby miały wiedzę i dobre oceny. Dzieciom też na tym zależało, gdyż nie zamierza-

ciela geografii był sznur rodziców, którzy chcieli wiedzieć, dlaczego ich la-torśl, mimo intensywnej nauki, zasługuje wyłącznie na jedynki.

W ubiegłym roku wstrząsnął szkołą incydent. Na tablicy pojawiła się klepsydra obwieszczająca śmierć znienawidzonego geografa. To dzieci postanowiły przynajmniej w ten sposób odwdziżyć się swemu „pedagogowi”. Nie był to najszcześniejszy pomysł – mówią mi współautorzy klepsydry – ale był to rozpaczliwy gest samoobrony z naszej strony. Nikt nie potrafił uwolnić nas od tego gnębiciela. Nasz uczynek uświadomił chyba gronu pedagogicznemu i dyrekcji szkoły, że miarka się przebrała, że takiego nauczyciela nie można dłużej tolerować w naszej szkole.

Po tym incydencie odbywa się rada pedagogiczna. Danuta Trzaskowska nie chce zdradzić o czym radzono i co urządzono. W każdym razie winnych zawieszenia klepsydry nie ukarano. Czy już wtedy grono doszło do wniosku, że pan B. nie powinien pracować w tej szkole?

– Ja do takiego przekonania doszłam po piśmie rodziców – mówi Danuta Trzaskowska – i po mojej obecności na

rzędnym celem. My od lat pracujemy nad tym, żeby uczeń był tu traktowany podmiotowo, a nie przedmiotowo, staramy się wyrobić w całym gronie bardzo życzliwy stosunek do ucznia, akceptujący go, wychodzimy mu naprzeciw, nie tylko nauczamy, ale i wychowujemy.

I teraz okazało się, że pan B. jest nauczycielem mianowanym czyli – jak to określili „Wiadomości Podwarszawskie” opisujące przypadek Leszka B. – jest „świętą krową”. Wolno go przyjąć do pracy, ale nie wolno zwolnić. Nie wolno go też przyjmować na czas ograniczony.

Pan B. odwołał się do sądu pracy i sąd uznał, że umowa o pracę została sporządzona błędnie, bo jak go przyjęto, to musi pracować dokąd sam zechce. Nieważne, że jest złym pedagogiem i że bije lub bił dzieci, że miał zakaz wykonywania zawodu. To dla sądu pracy się nie liczy, liczą się przepisy i Leszek B. ma wrócić do karczewskiej „dwójki”. Kuratorium – jak zwykle – ma usta pełne wody, a ZNP z pewnością zaciska zęby, żeby mu nie wypadła Karta Nauczyciela. Pamięta wszakże przygodę kruka z serem w dziobie, który nieopatrznie dał się namówić do

NAUCZYCIEL CZY GNĘBICIEL

ty kończyć edukacji na szkole podstawowej. Prosiłam o wyrozumiałość, o to, aby dał uczniom czas na dostosowanie się do jego wymagań. On przytakiwał, ale nie zmieniał postępowania. Na ulicy zaczęli zaczepiać mnie rodzice i pytać, co się w tej szkole dzieje, dlaczego jest taka psychoza strachu przed geografą. Dzieci bez uprzedzenia, twierdzono, pytane są z tego o czym pisała prasa, z programów telewizyjnych, z audycji radiowych, wymaga się od nich różnych regionalnych nazw geograficznych, znanych jedynie wybitnym specjalistom – słowem, wiedzy na poziomie akademickim. Rzeczywiście na dzieci padł blady strach. Chcę zaznaczyć, że pan B. nie podawał dzieciom żadnych tekstów źródłowych, nie polecał oglądać tv, ani czytać konkretnych pism, uważał, że to jest obowiązek uczniów, nadał geografii walor przedmiotu najważniejszego ze wszystkich. Geografia stała się postrachem całej szkoły – 20 klas. Podczas dni otwartych do nauczy-

zebraniach z rodzicami i panem B. w klasach. Rodzice wprost zażądali ode mnie zmiany nauczyciela i uzasadnili to.

Leszek B. nie przyjął zarzutów i stanowczym głosem, niektórzy rodzice mówią, że krzyżując na nich, utrzymywał, iż to on ma rację. Z kolei dzieci, aby udowodnić, że umieją geografę, prosili o tzw. egzaminy sprawdzające, aby podnieść swoją ocenę z tego przedmiotu. Można oczywiście zakładać, że dzieci nie lubią uczyć się geografii w jednej czy dwóch klasach i słusznie mają za to „pały”, ale że ta plaga objęła aż 20 klas – to zupełnie nieprawdopodobne.

– Nie widząc szans na to, aby współpraca z dziećmi układała się bezkonfliktowo – dodaje dyrektorka szkoły – zdecydowałam nie przedłużać umowy z Leszkiem B. Uznałam, że przy tym nauczycielu ja nie jestem w stanie uchronić dobra dzieci. A chcę podkreślić, iż dobro dzieci jest w tej szkole nad-

zabrania głosu. Na głos Związku Nauczycielstwa Polskiego w tej sprawie nie ma co liczyć, ale jak się odezwie, będzie to pewnie grom wycelowany w jatrzącą prasę.

Dyrektorka twierdzi, że celowo podpisała z B. umowę czasową, chciała zatrudnić geografa, ale, nie znając człowieka, asekurowała się. Od wyroku sądu odwoła się do wyższej instancji. Rodzice zapowiedzieli, że nie dopuszczą do tego, aby ich dzieci uczęszczały na lekcje tego geografa. Leszek B. już w lutym, jeszcze przed uprawomocnieniem się wyroku sądu przyszedł do „dwójki” z żądaniem zatrudnienia go. Podobno spotkał się też z burmistrzem Mirosławem Pszonką. Treści rozmowy obu panów nie znamy. Na razie, przynajmniej do końca roku uda się pewnie Leszka B. utrzymać z dala od „dwójki”, ale jeśli sądy „zawiodą” i pan geograf wróci – zanoszą się na ostry konflikt po wakacjach.

Zbigniew D. Skoczek

KARMIENTE NATURALNE A ROZWÓJ MOWY DZIECKA

Karmienie naturalne piersią przez matkę – tak powszechne i oczywiste u wszystkich ssaków, straciło swą istotną wartość najbardziej u ssaka najwyżej rozwiniętego – człowieka.

W którymś momencie rozwoju cywilizacji stwierdzono, że jest to przejaw zacofania. Z opracowań, socjologów wynika, że im bardziej rozwinięte było społeczeństwo, tym mniej matek karmiło piersią swoje dzieci.

Karmiły tylko najbiedniejsze.

Obserwacje świata zwierząt wskazują na wielkie znaczenie czasu, jaki upłynął od porodu do pierwszego karmienia. Zaobserwowano, że noworodek odstawiony, a po kilku godzinach podany do karmienia bywa odrzucony, często nawet uśmiercany. Stwierdzono również, że odrzucone noworodki, które przeżyją, są znacznie słabsze, później zaś np. samice są gorszymi matkami od tych, które zostały natychmiast dopuszczone do karmienia.

Wpływ karmienia naturalnego na rozwój fizyczny i psychiczny dziecka jest nadal w kręgu zainteresowania naukowców różnych dyscyplin, a badania wykazują, iż nie można nie doceniać tego zagadnienia. Karmienie piersią jest pierwszą sytuacją, w której rozwijają się kontakty społeczne i emocjonalne.

Dziecko obserwuje narządy mowy matki (artykulatory), utrzymuje z nią kontakt wzrokowy. Podczas karmienia twarz dziecka zwrócona jest bezpośrednio do ciała matki, czuje ono jej temperaturę, zapach, słucha rytmu jej serca, chłonie jej spojrzenie. Warunkiem, zapewniającym możliwość karmienia naturalnego, jest prawidłowy rozwój i sprawność mięśni twarzy dziecka oraz jego języka, który jest narządem bardzo ruchliwym i spełniającym liczne zadania. W noworodka koniuszek języka jest bardzo krótki, a fałd tkanki podjęzykowej przyczepiony w jego pobliżu. W wyniku ssania czubek języka (apex) rośnie, a cały język usprawnia się i przygotowuje do bardziej skomplikowanych zadań podczas żucia (kształtuje kęsy, miesza je ze śliną i kieruje do gardła) oraz mówienia.

Istotne są różnice pomiędzy pracą języka podczas ssania piersi i ssania przez smoczek. Przy ssaniu piersi wargi szczelnie obejmują brodawkę, język cofa się unosząc tylną część do podniebienia miękkiego (zamykając przepływ powietrza z nosa) i dziecko wykonuje naprężenne ruchy żuchwą: obniża ją i cofa po czym podnosi i wysuwa ku przodowi (identyczne ruchy jak przy żuciu).

Pokarm z piersi jest wydobywany i przesuwany za pomocą ruchów ssących i żujących. Inny jest natomiast sposób ssania przez smoczek, ponieważ obniżenie ciśnienia w jamie ustnej następuje w wyniku opuszczenia, a następnie cofnięcia żuchwy i języka, zaciśnięcia warg wokół smoczka oraz wciągnięcia policzków. Są to tylko ruchy ssące.

W zależności od rodzaju karmienia różny jest sposób oddychania dziecka. Dziecko karmione piersią nie przerywając ssania korzysta z naturalnego filtra powietrza i prawidłowo oddycha przez nos, natomiast przyjmując pokarm przez smoczek dziecko przerywa ssanie, aby nabrać powietrza przez usta. W krótkim czasie dochodzi do nawykowego oddychania przez usta, co powoduje częste zakażenia dróg oddechowych, deformację zgryzu, wady wymowy oraz nieprawidłowy sposób połykania. U niemowlęcia w połykaniu biorą udział wszystkie mięśnie twarzy, język jest wysunięty do przodu, miesiąc ust napięty. Taki typ połykania – niemowlęcy – prawidłowy jest do czasu wyrośnięcia wszystkich zębów mlecznych tj. do 3 – 4 roku życia, kiedy to powinna nastąpić zmiana na połykanie właściwe dorosłym. Wymaga ono podniesienia czubka języka (apexu) ku dziąsłom górnym, napięcia mięśni żujących, ale bez napinania mięśnia okrężnego ust.

Tylko naturalne karmienie niemowlęcia zapewnia mu prawidłowy rozwój wymowy (artykulacji), której ocena będzie możliwa wówczas, gdy dziecko będzie utrzymywało kontakt językowy czynny – mówiąc. Przystawianie języka i rozwój mowy we wczesnych latach ma ogromny wpływ na rozwój osobowości dziecka, jego potencjał intelektualny oraz sferę psychiczną i społeczną.

W stanie kontaktu z matką, podczas karmienia piersią noworodek przygląda się szczególnie jej twarzy, gdy do niego mówi, wówczas otwiera i zamyka usta, a około 2–3 tygodnia życia w chwilach radości zaczyna głużyć i uśmiechać się do niej, przesuwa twarz za jej twarzą, naśladuje wysuwanie języka. Spośród dźwięków docierających z otoczenia większe jego zainteresowanie budzą dźwięki mowy, zwłaszcza jeśli wśród

nich słyszy głos matki, którego słuchanie szczególnie preferuje.

W pierwszym miesiącu życia dziecka w jego krzyku można wyróżnić poszczególne dźwięki.

W drugim miesiącu życia dziecko w reakcji na bodziec słuchowy zatrzymuje ruchy, nie mruga, nie boi się. Wydawane przez nie dźwięki przypominają samogłoski (a, e) połączone z przydechem.

W trzecim i czwartym miesiącu dziecko lokalizuje źródło dźwięku. Obserwacja reakcji w tym wieku ma istotną wartość diagnostyczną, ponieważ są to informacje o stanie słuchu dziecka. Potwierdzeniem jego prawidłowości jest „włączanie się dziecka” na zasadzie odpowiedzi na słyszany rozmowę. Produkcje głosowe wówczas są częste i długie, zbliżone do pierwszych, aczkolwiek niewyraźnych sylab i ich kombinacji z elementem wokalizacyjnym połączonym z (r) (wymagającym dużej sprawności czubka języka). Są to ciągłe ćwiczenia usprawniające język i wargi, mające istotny wpływ na różnicowanie produkcji głosowych.

W piątym miesiącu życia dziecko koncentruje się na charakterystycznych cechach wypowiedzi, a więc reaguje na jej ton i modulację głosu. Słyszcząc skierowaną do siebie wypowiedź surowym tonem – płacze. Odpowiedzią na miłą, przytulną wypowiedź jest uśmiech. Dziecko przysłuchując się bacznie obserwuje otoczenie i „włącza się” np. próbuje naśladować matkę, która wysuwa język, parska wargami, a jednocześnie powtarzając wyuczone zachowania dąży do zwrócenia uwagi na siebie.

Mówiące otoczenie dziecka jest znakomitym stymulatorem rozwoju jego słuchu!

W szóstym miesiącu życia dziecko śledzi osobę mówiącą, bacznie skupia uwagę oraz lokalizuje źródło dźwięku. W rozwoju sprawności narządów mowy (artykulatorów) jest to etap o istotnym znaczeniu, albowiem dziecko uczy się żuć, wykazując dojrzałość do przyjmowania pokarmów stałych. W produkcjach wokalnych dziecka wyraźnie słychać łańcuch sylabowy (ma – ma, ga – ga).

Siedmiomiesięczne dziecko „opowiada” dużo i chętnie. Łańcuchy sylabowe jakkolwiek bez znaczenia i sensu pełnią ważną rolę w podtrzymywaniu kontaktu dziecka z otoczeniem. Gaworzenie to bardzo ważny moment w rozwoju mowy dziecka. Nie pojawia się u dzieci z uszkodzonym słuchem. Dzieci takie głużą do 18 miesiąca życia, a potem milkną i mowa nie rozwija się dalej. Istotną wartość ma rozwinięte żucie na skutek przyjmowania przez dziecko pokarmów stałych bez konieczności ich rozdrabniania. Stanowi to ważny etap na drodze do prawidłowego rozwoju sprawności narządów mowy (artykulatorów).

Analizując zachowanie głosowe dziecka należy pamiętać, że ich znaczenie i charakter warunkuje rozwój rozumienia, które u dzie-

cka 10-cio miesięcznego jest już wyraźne. Rozumie ono już nazwy przedmiotów i osób z najbliższego otoczenia, reagując na pytanie „gdzie?”. Znajdując przedmiot, o który pyta, zatrzymuje na nim wzrok, jeśli zaś zatychmiast go nie znajdzie, zapomina, o co pytało. Dziecko w tym okresie zna rolę wokalizacji, dlatego też samo często rozpoczyna „rozmowę” z matką, która podejmuje ją i wchodzi z nim w dialog. Dialog ma ogromne znaczenie stymulujące nie tylko dla rozwoju rozmowy, jest ćwiczeniem tzw. słuchu mownego, który ma swoją reprezentację w korze mózgowej. Dialog jest także podtrzymaniem kontaktu emocjonalnego matki i jej dziecka.

W jedenastym miesiącu życia dziecka pojawiają się pierwsze sensowne sylaby i ich ciągi, których dziecko używa zawsze na oznaczenie określonej osoby, przedmiotu lub sytuacji, w której jest pouczane „nie”, „nie wolno” itp. Dziecko, dążąc do realizacji różnych zamierzeń, próbuje powtarzać czynności, oczekując reakcji otoczenia. Najczęściej akceptacji. W tym czasie przemieszcza się już samodzielnie i wykonuje różne czynności na wyraźne polecenia matki lub kogoś z otoczenia. Dwunastomiesięczne dziecko rozumie i wykonuje polecenia „chodź do mamy”, „podaj lalę” itp. Zainteresowane wszystkim co je otacza wokół rozprasza się i często zapomina o co było prośbą. Własne pragnienia i odczucia przekazuje poprzez wyrażenia dźwiękonaśladowcze – hau, hau, hau, bum, bud, am itp. rozumiejąc ich nazwy umowne. Roczne dziecko wyraźnie prezentuje zakres bierny i czynny znajomości języka, umiejętność mówienia oraz sprawność aparatu artykulacyjnego.

Dojrzałość dziecka w zakresie funkcji pokarmowych (picie z filiżanki samodzielnie jedzenie łyżką), w zakresie funkcji komunikacyjnych oraz oddychanie przez nos stanowią duże prawdopodobieństwo prawidłowego rozwoju warunków anatomicznych w obrębie jamy ustnej (zgryzu) oraz dalszych etapów rozwoju mowy. W przypadkach odstępstw w zakresie którejkolwiek z omówionych funkcji należy natychmiast podjąć ćwiczenia usprawniające i stymulujące rozwój mowy dziecka.

Dotychczasowe doświadczenia w pracy, rozmowy z rodzicami dzieci, z którymi pracuję wskazują, iż często, do logopedy trafiają dzieci zbyt późno. Szczególnie rodzice nie zdają sobie sprawy z tego, że wczesne zaobserwowanie nieprawidłowości w rozwoju mowy dziecka i uzyskanie porady u logopedy w znacznym stopniu wpływają na wyniki pracy i często decydują o przyszłości dziecka.

PS. Do napisania tego artykułu zainspirowały mnie dwa artykuły doktora Sławomira Gęsiora pt. „Karmienia naturalnego”. Począłem się wręcz zobowiązać, aby napisać dalszą jego historię w aspekcie logopedycznym

Jolanta Budkowska
Fot. „Dziecko”



Z panem **WŁADYSŁAWEM WIŚNIEWSKIM** rozmawia **Piotr Tabencki**.

Piotr Tabencki: Jak długo pracuje pan jako taksówkarz?

Władysław Wiśniewski: No, to już dwadzieścia lat i cały czas na tym postoju w Karczewie.

P.T.: W jaki sposób „wygryzł” pan swoich konkurentów? Od pewnego czasu możemy tutaj zaobserwować tylko pana i pana samochód.

W.W.: Nie ma tutaj warunków do zarobku i moi koledzy musieli stąd odejść sami. Po prostu zmienili branżę. Głównym powodem takiej sytuacji jest komunikacja autobusowa wprowadzona w ostatnich latach. Co dziesięć minut autobus do Warszawy przez Otwock. Dzisiaj taksówkarz nie ma szans na przeżycie.

P.T.: Czy to prawda, że nie lubi pan jeździć z klientami do Warszawy, a swoich pasażerów dowozi pan tylko do Ronda Waszyngtona?

W.W.: To nieprawda. To po prostu karczewska złośliwość, a kiedyś również głos konkurencji. Proszę się spytać pana Ziętki Siwaka, niech powie, ile razy z nim jeździłem do Warszawy. Poza tym to do Warszawy jest bezpiecznie jeździć, niż tu po Karczewie czy Otwocku, gdzie na każdym kroku wymuszają pierwszeństwo.

P.T.: Czy podczas wieloletniej pracy w tym zawodzie spotkał się pan z jakąś niebezpieczną sytuacją?

W.W.: Miałem na początku swojej pracy, ale nie ma co o tym pisać. Teraz nie zdarzają mi się takie przypadki, bo nocami nie stoję. Po zmroku po prostu strach.

P.T.: Obecnie jeździ pan samochodem marki Polonez. Jakimi samochodami pan jeździł poprzednio?

W.W.: Wcześniej to jeździłem samymi Fia-

tami. Nie, nie, przepraszam, pierwszy samochód na taksówce to była Skoda 105. zacząłem od Skody, później same Fiaty, a na ostatek POLONEZ.

P.T.: Ile obecnie wynosi opłata za przejazd z Karczewa do Otwocka?

W.W.: To zależy od licznika, od tego ile kilometrów. Za każdy kilometr opłata wynosi 1 zł.

P.T.: Czy dużo kursów ma pan dziennie i dokąd?

W.W.: Zdarza się nieraz tak, że i trzy dni bez kursu stoję na postoju. A tak to jeden, dwa kursy dziennie. Po prostu jest tak, że każdy w domu ma samochód. Odpadły śluby, chrzty, pogrzeby. Do czego to doszło, żeby w Sylwestra mieć tylko dwa kursy. Tego jeszcze nie było jak dwadzieścia lat jeżdżąc na taksówce. Gdyby nie to, że dwa lata zostały mi do emerytury, to już bym dawno rzucił tę taksówkę i poszedł gdzieś indziej do pracy. A tak to stoję, żeby doczekać do emerytury.

P.T.: Z tego wynika, że za dwa lata, jak pan przejdzie na emeryturę, to Karczew zostanie bez taksówki.

W.W.: Nie, nie! Jak będzie zdrowko, to przypuszczam, że będę stał na pół etatu. No bo co bym miał robić w domu? Teraz, to, co człowiek zarobi, to ledwie starczy na opłacenie ZUS-u i na benzynę. W zasadzie to człowiek z tej taksówki nie ma korzyści. Kiedyś na tym postoju taksówki stały od początku do końca. Było ich siedemnaście i każdy miał co robić. Dzisiaj postój przeobrażono w parking dla ludzi, którzy przyjeżdżają do kościoła. A ta jedna taksówka jakoś pogodzi się z tymi ludźmi.

P.T.: Dziękuję panu za rozmowę i życzę wytrwałości w wykonywaniu tego zawodu, i większej ilości klientów.



W cieniu lipowej alei (2)



*Kaplica w Otwocku Wielkim – wybudowana dzięki staraniom
obecnego gospodarza karczewskiej parafii*



Msze świętą celebryje proboszcz Sylwester Sienkiewicz

W Otwocku Wielkim w czasach przedwojennych istniało koło młodzieżowe WICI. Po wojnie działalnością kulturalną zajęło się Koło Gospodyń Wiejskich, którym kierowały Helena Kąkol i Karolina Zakrzewska. We wsi organizowano występy teatralne, istniały kółka artystyczne, orkiestra dęta, co roku odbywały się dożynki. Od roku 1968 istniał przy szkole (w czasach pana Jana Siwka) zespół wokalo-instrumentalny, który dawał występy w różnych placówkach i na różnych uroczystościach, brał udział w festynach i w powiatowych zawodach kulturalnych, istniał do 1986 roku. Dziś wszystko to zanikło, samoistnie upadło. Młodzież potrzebuje organizatora, człowieka zdolnego do pokierowania nią, a chetnych jest mało.

Opócz kompleksu pałacowego, Otwock Wielki posiada także od dziesięciu lat drugą ważną budowlę – swoją świątynię pod wezwaniem Miłosierdzia Matki Boskiej Ostrobramskiej. Wieś miała zaszczyt trzykrotnie gościć u siebie księdza biskupa Kazimierza Romaniuka. Pierwszy raz 12 października 1986 roku na otwarcie punktu katechetycznego w kaplicy, a następnie 6 grudnia następnego roku, na uroczystości poświęcenia świątyni. Po raz trzeci ksiądz biskup Romaniuk gościł w Otwocku Wielkim 3 czerwca 1990 roku, kiedy to celebrował uroczystą Mszę Świątą w 70 rocznicę utworzenia Ochotniczej Straży Pożarnej oraz powstania ruchu ludowego. W trakcie uroczystości odbyło się poświęcenie tabernakulum, które dla kaplicy wykonali Andrzej i Tadeusz Laskusowie z Karczewa. Odbyło się także poświęcenie restaurowanych sztandarów Ochotniczej Straży Pożarnej i Polskiego Stronnictwa Ludowego. Na sztandarze OSP widnieje napis „Bóg, Honor, Ojczyzna” z godłem Orła Białego w koronie. Strażacy z Otwocka Wielkiego mają duże doświadczenie w pożarnictwie, a o ich umiejętnościach przekonali się także mieszkańcy samej wsi podczas wielkich pożarów (na początku lat pięćdziesiątych) przy ulicy Górnej i Zamkowej.

W latach pięćdziesiątych wieś została zelektryfikowana, powstał sklep spożywczy, początkowo w prywatnym budynku, później w nowo wybudowanym, w którym od początku obsługuje ludzi pani Zuzanna Podgórzak. Kiedyś istniał we wsi Klub Rolnika – obecnie urządza się tam tylko zabawy sylwestrowe. Istnieją próby odtworzenia klubu, placówki bardzo potrzebnej na wsi, jest dużo chętnych ale brak jest człowieka zdolnego do pokierowania.

Obecnie dobiega końca gazyfikacja wsi. Nitki gazowe znajdują się już na podwórkach gospodarzy, wystarczy tylko porobić instalacje no i puścić gaz. W planach wsi znajduje się doprowadzenie wody miejskiej od Karczewa, zainteresowanie tą inwestycją we wsi jest ogromne. Planowany koszt tego przedsięwzięcia wynosi osiem miliardów starych złotych, ale obejmowałoby ono także Otwock Mały. Woda z Otwocka Wielkiego popłynęłaby następnie przez Wygodę do Ostrówca. Po ukończeniu prac związanych z wykopami dokończonoby układanie chodników, które przerwano czekając na wykonanie robót związanych z doprowadzeniem wody. W planach sołectwa na ten rok znajduje się sprawa utwardzenia i oświetlenia ulicy Polnej, budżet powinien uwzględnić także ocieplenie domków personelu szkolnego.

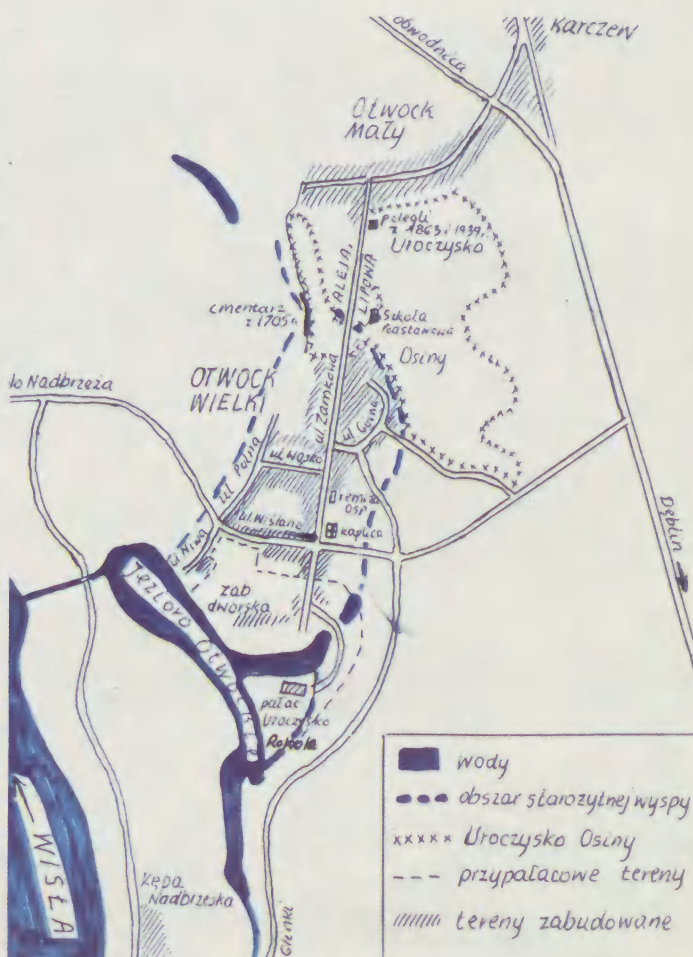
We wsi mieszkają głównie chłopporobotnicy, dorabiający sobie w różnych zakładach pracy. Mimo tego, że powojenna reforma rolna podzieliła między rolników Otwocka Wielkiego ziemie dworskie, gospodarstwa we wsi należą do średnich i małych. Największe osiągnięcia w ogrodnictwie i warzywnictwie posiada rolnik Maciej Kamiński, dobrymi gospodarzami są także Józef Raszka i Tadeusz Ochnik.

Życie sportowe Otwocka Wielkiego grupuje się wokół klubu „Vistula”, który staje się ośrodkiem sportu gminnego. Boisko „Vistuli” ma być usytuowane na łąkach, niedaleko Otwocka Wielkiego, a jego bliskość napewno zdopinguje coraz większą liczbę zwolenników sportu do działania.

Otwock Wielki ma świetne połączenie komunikacyjne z Warszawą. Wszystkie autobusy kursujące do Nadbrzeża i Kępy Nadbrzeskiej przejeżdżają przez Otwock Wielki. Tych, którzy by chcieli odwiedzić „Uroczysko Rokola” i odpocząć w cieniu starych, zabytkowych drzew nad jeziorem, Otwock Wielki zaprasza i ażeby nie pomylić go z miastem Otwockiem podaje swoje współrzędne na mapie. Szerokość geograficzna północna 52 stopnie 03 minuty i długość geograficzna wschodnia, 21 stopni i 15 minut.

Tekst i mapa: Zygmunt Zakrzewski

Fot. Przemysław Skoczek



Już za miesiąc poznamy laureatów
VII Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Jana Krzewniaka.

CZEKAMY NA MŁODYCH

Gdy piszę ten artykuł wiadomo już, że na kolejny, poetycki konkurs karczewski nadeszło swoje prace około 460 poetów. Wśród zgłoszonych prac są również utwory nadesłane z Litwy, Czech i Niemiec. Pierwsze spotkanie Jury, w niepełnym składzie, odbyło się w sobotę 16 marca. Wówczas to zostały otworzone koperty z pracami. Prawdopodobnie każdy z jurorów będzie miał w tym roku do przeczytania ponad 2200 wierszy. Na wykonanie tej pracy jurorzy będą mieli zaledwie miesiąc, gdyż prawdopodobnie 20 kwietnia spotkają się by zdecydować, które prace powinny zostać nagrodzone.

Wśród laureatów karczewskiego konkursu pojawiali się poeci znani i uznani tacy jak Mirosław Bochenek, Marta Fox, Wilhelm Przeczek, ks. Jerzy Sikora czy też Wiesław Malicki. Pojawili się również poeci bardzo młodzi, którzy w Karczewie zdobyli swoje pierwsze szlify. Do grona tych młodych twórców naliczyć należy Annę Olejnik, która, w tym czasie, gdy brała udział w konkursie im. J. Krzewniaka, miała zaledwie 17 lat i uczęszczała do X klasy Liceum Ogólnokształcącego we Wrocławiu, Ania bowiem mieszka w Mirkowie koło Wrocławia. Dzisiaj prezentujemy niektóre z nagrodzonych wówczas utworów Anny Olejnik (kk).

Jestem Gaja
ciągłe opadanie
jak ptak
albo jak kobieta
co chce być świeższa od trawy

śpię z otwartymi ustami
wierzę
nie wierzę
w miłość

pień wiosennej jabłunki
pachnie jak mokre włosy
i wszyscy święci na nim śpią
i wszyscy diabli na nim śpią
zapach drżenia
idzie jak grzech
wieczór...

Jestem Gaja
koloru przekwitającej koniczyzny
zakrywam
słone powieki
zapachem gasnącego słońca
i mój brzuch chłodny jak wieczór
i moje bezwstydne kolana

Mężczyzna pod tamtym drzewem
pachniał fioletem kąkolu
zanim odgadł mój zapach
zerwał jeden po drugim
kaczenie moje samotności

Przeciętny człowiek, pozbawiony specjalnych zainteresowań genealogicznych czy w ogóle historycznych, mało wie na temat historii swych przodków. Zna zaledwie imiona rodziców i najgłówniejsze daty z ich życia. Już nie zawsze umie wyliczyć poprawnie wszystkich czworo dziadków, a fakty dotyczące ich życia zna chyba tylko te, które kojarzą się w jakiś sposób z jego własnymi wspomnieniami. Spośród pradziadków, dobrze jeśli umie wymienić imię pradziada po ojcu, ale to nie zdarza się zbyt często. Kiedy najstarsze pokolenie schodzi z tego świata, zabiera z sobą cenne nieraz wiadomości – które tak bardzo by chcieli znać jego późniejsi potomkowie. Mało jest takich ludzi, którzy by starali się utrwalić najważniejsze znane im fakty rodzinne po to, aby przekazać je swoim następcom. W chwili obecnej coraz bardziej modniejsze staje się posiadanie drzewa genealogicznego swojej rodziny, wiele osób doszukuje się w różnych źródłach danych dotyczących swych przodków.

Nauka która zajmuje się tymi sprawami nazywa się genealogią i znana jest od bardzo dawna. Badaczy interesowało wzajemne powiązania rodzin królewskich, tworzone tablice genealogiczne różnych dynastii zarówno królewskich, jak i magnackich czy szlacheckich. Bardzo ważną rzeczą było udokumentowanie swego pochodzenia od jakiegoś rodu herbowego, by znaleźć się w gronie ludzi, w których żyłach płynęła błękitna krew. Powstały liczne wydawnictwa z dziedziny herbarzy i heraldyki, zawsze cieszące się popularnością i zapotrzebowaniem na rynku wydawniczym.

Najważniejszymi dokumentami genealogicznymi są posiadane przez Kościoł, a potem przez urzędy stanu cywilnego metryki chrztów, ślubów i zgonów, akta sądowe ziemskie i grodzkie oraz inne urzędowe dokumenty. Niniejszy artykuł przybliży czytelnikom trochę wiedzy na temat kościelnych ksiąg metrykalnych. Ich nazwa pochodzi od wyrazu „metrica”, oznaczającego po łacinie spis, rejestr. Katalogi chrztów, ślubów i zgonów sporządzali już pierwsi chrześcijanie w ostatnich wiekach istnienia Cesarstwa Rzymskiego. Po jego upadku, upadł także zwyczaj rejestrowania wiernych. Dopiero w XIV wieku poczęto w krajach łacińskich spisywać wykazy chrztów i ślubów, do czego nawoływały duchowieństwo ustawy synodalne. Praktyka ta szerzyła się stopniowo i dopiero decyzja soboru trydenckiego z 1563 roku regulowała sprawę jeźeli chodzi o prowadzenie ksiąg chrztów i ślubów. W roku 1614 papież Paweł V uzupełnił decyzję soborową, nakazując prowadzenie również i ksiąg zmarłych.

Księgi metrykalne z ostatnich lat XVI wieku należą u nas do rzadkości. Prowadzenie ich upowszechniło się dopiero w ciągu XVII wieku, przy czym najpóźniej zaczęto w sposób systematyczny spisywać księgi zmarłych, a wszystkie zapisy sporządzano w języku łacińskim. Listy pasterskie i statuty synodów diecezjalnych niosły dokładne instrukcje dla plebanów jak mają prowadzić księgi. Ale duchowieństwo parafialne na ogół mało sobie z tych przepisów robiło i prowadziło je w sposób jak najbardziej niejednolity i pobieżny. Dopiero rozporządzenia władz zaborczych wprowadziły ściśle przestrzegane przepisy.

W XVIII wieku w niektórych diecezjach wydano rozporządzenie zobowiązujące plebanów do corocznego składania odpisów metryk w kancelariach biskupich, a to w celu zabezpieczenia ich zawartości przed zniszczeniem. W praktyce jednak wykonywanie rozporządzeń o duplikatach nie było ani powszechne, ani trwałe. W czasach Księstwa Warszawskiego (1808–1815) zlecono nawet duchownym prowadzenie osobnych ksiąg stanu cywilnego. W roku 1825 księgi metrykalne kościelne złączono z aktami stanu cywilnego w jeden akt religijno-cywilny, przy czym urzędnikiem stanu cywilnego był proboszcz. Dotyczy-



ROLA KSIĄG METRYKALNYCH

ło to jednak tylko obszaru Królestwa Polskiego, a więc także naszej parafii. Księgi sporządzano w języku polskim w dwóch egzemplarzach, z których jeden pozostawał na miejscu, drugi odyślano do odpowiedniego sądu pokoju. Od roku 1868 księgi prowadzono już w języku rosyjskim (do 1915 r.) a w wyniku pogłębiającej się rusyfikacji po roku 1905, zmieniano także imiona na rosyjskie i tak Jan stawał się Iwanem a Józef–Osipem.

Księgi metrykalne do połowy XVIII wieku miewają kształt tzw. „dutek”, czyli wąskiej a wydłużonej księgi o formacie 30 x 9 cm. Znaczna większość parafii posiada metryki wstecz nieledwie od XVIII wieku. Mimo przepisów synodalnych i rewizji ksiąg dokonywanych przez wizytatorów, daje się zauważyć w wielu parafiach wielką niedbałość w prowadzeniu zapisów. Brak czasem wielu lat, a kolejność wpisów dowodzi, że nie nastąpiła tu zatura księgi. Mimo zakazów ze strony władz duchownych: sporządzano doraźne zapisy na luźnych kartkach z zamiarem wpisania je kiedyś do księgi. Kończyło się na zamiarze. I tak oto brakuje aktu zgonu praprzodka, mimo że nic nie wskazuje na to aby opuścił on kiedyś swoją parafię. Dotyczy to oczywiście ksiąg z ubiegłego stulecia.

Podawanie wieku zmarłych w XVII wieku było rzadkością, upowszechniło się to dopiero w ciągu XVIII wieku, a regułą stało się to dopiero po rezbiorach, przy czym wymieniano rodzaj choroby, który uważany był za przyczynę śmierci. Zasób tych chorób był niewielki. Na pierwszym miejscu suchoty, potem wodna puchlina, dalej paraliż, krosty (np. ospa czy szkarlatyna), wreszcie kołtun, a ludzie starsi przeważnie umierali „ze starości”. Wiek zmarłego oceniano „na oko” i trzeba traktować go z największą ostrożnością, gdy chcemy dowiedzieć się z tego rodzaju źródła o roku urodzenia zmarłego. Uzyskamy wtedy przybliżoną datę urodzenia przez zwykłe odjęcie liczby lat życia od daty śmierci. Tylko przybliżoną, bo bardzo często podawano wiek zmarłego z dokładnością nie do roku a do lat nawet kilkunastu. Ludzie zgłaszający zgon byli źle poinformowani, przeważnie nie znali imion rodziców zmarłego, a jak podawali dane to często pomyłone.

W XVII wieku najczęściej nie podawano nazwiska panińskiego matki chrzczonego dziecka, nie wymieniano też rodziców osób wstępujących w związku małżeńskie. Czynności te upowszech-

niły się dopiero w XVIII wieku. Niekiedy bywają pomocne określenia pokrewieństwa rodziców chrzestnych lub świadków ślubu w ustaleniu powiązań rodzinnych.

Poważne trudności nastrocza zwyczaj dawania na chrzcie dzieciom kilku imion, z których pierwsze nie zawsze stawało się potem głównym, albo używane było na przemian raz jedno, raz drugie. Wiek osób zawierających małżeństwo był notowany w mało dokładny sposób, a kiedy chodziło o odmłodzenie starzejącej się panny – celowo – fałszywy. Znałe są przykłady, kiedy w zawieranych małżeństwach przez wdowę wychodzącą za mąż trzykrotnie, za każdym razem była o 4–5 lat młodszą, oczywiście według podanego przez siebie wieku. Wpisującego akt interesowało głównie to, czy młodzi mają już odpowiedni wiek do żeniaczki, stąd ocenianie wieku na podstawie danych wynikających z aktu małżeństwa nie należy do informacji dokładnych. Do tego małżeństwa zawierane były przeważnie w karnawale, na początku roku i informacja że młodzi liczyli sobie po dwadzieścia lat nie nam nie mówi, w którym roku się urodzili, bo lata mogli kończyć w grudniu lub styczniu roku następnego, a to jest już różnica jednego roku kalendarzowego. Od roku 1946 księgi metrykalne prowadzone są już w sposób dokładny, zawierają rubryki i zamiast wpisywania ile lat żył zmarły czy ile lat posiada pan młody, wpisuje się po prostu jego datę urodzenia.

Księgi metrykalne mają bez wątpienia olbrzymią wartość genealogiczną. Stosunkowo najłatwiej na podstawie metryk jest zestawić drzewo genealogiczne rodzin szlacheckich, które już w XVII wieku miały nazwiska całkowicie ustalone, pochodzące przeważnie od dziedziczonej posiadłości. Rodziny mieszczańskie występowały przeważnie z przezwiskami, nie zawsze dziedziczonymi z pokolenia na pokolenie. Jeden i ten sam osobnik mógł mieć po kilka przezwisk, którymi mógł się posługiwać w danym czasie. Syn szewca nazywał się Szewczyk, ale gdy nie miał on nic wspólnego z profesją ojca bo był kowalem, jego dzieci nazywano Kowalczykami itd. Nazwiska chłopskie powstały z przezwisk i początkowo były one płynne, a dziedziczone konsekwentnie z pokolenia na pokolenie są zjawiskiem powszechnym dopiero w XIX wiku

Jak widać ustalenie rodowodu nie jest taką sprawą łatwą i wymaga wiele żmudnej pracy, aby osiągnąć cel, aby metodą porównań i logicznego

nieraz myślenia powoływać nagromadzone niejasności i rozszyfrować zawiłe nieraz związki rodzinne, aby stworzyć w sposób najbardziej wiarygodny drzewo genealogiczne danej rodziny.

W archiwum naszej parafii znajdują się kompletne akta metrykalne dopiero od roku 1826. Księgi z XVIII wieku podobno zostały zniszczone w czasie trwania powstania kościuszkowskiego, gdzie znajdują się ich odpisy nie wiadomo. Z pozycji ocalała tylko jedna „dotka” zawierająca rejestr chrztów z lat 1734–1751. Potem w kolejności znajduje się także księga chrztów z lat 1798–1811, obie księgi pisane po łacinie. Po polsku pisane są roczniki z lat 1811, 1814, 1819, 1821 i fragmenty 1822 roku. Brakujące roczniki z lat 1810–1825, a także dalsze księgi-roczniki znajdują się w archiwum otwockim. Z ostatnich stu lat metryki posiada także Urząd Stanu Cywilnego w Karczewie.

Badacz genealogii odczuwa bardzo dotkliwie brak w archiwum naszej parafii ksiąg z drugiej połowy XVIII wieku. Właśnie to półwiecze, to okres bardzo ważny w formowaniu się nazwisk

i właśnie w tym okresie można było prześledzić ewolucję przezwiska w nazwisko i ustalić ich tożsamość np. że Kurzawa to Jędrzejewski a Gucik – Stanisławski. Także w drugiej połowie XVIII wieku w naszej parafii wzięło początek wiele nazwisk a brak akt ślubu z tego okresu uniemożliwia ustalenie miejscowości, z której one przybyły, by ewentualnie tam dalej prowadzić dalsze poszukiwania. Wszystko mogłoby wyjaśnić akt zgonu, ale ten, nawet z połowy XIX wieku podaje że ów zmarły był synem nieznanym z imion rodziców i nieznanego miejsca urodzenia.

Wiele jeszcze innych problemów można napotkać przy sporządzaniu drzewa rodowodowego, ale mimo to wartość ksiąg metrykalnych jest bezcenna. Do najbardziej cennych należą akta zawieranych związków małżeńskich, podających najwięcej danych. Dobrze prowadzone są nasze akta chrztów i ślubów, natomiast akta zgonów, zwłaszcza tych najstarszych, nieraz prowadzonych tylko w formie wykazów, bardzo często nie posiadają w swych tekstach najważniejszych danych dla genealoga, jakim są – imiona i nazwisko panińskie matki zmarłej osoby.

Ażeby wyłowić wszystkie wiadomości na temat jednego tylko rodu trzeba kolejno przeanalizować zawartości wszystkich ksiąg metrykalnych i dopiero wtedy można uważać taki rodowód za najbardziej wiarygodny. Ażeby on był czytelny i przejrzysty, najlepiej jest nie zamieszczać w nim zmarłych dzieci (których w ubiegłym stuleciu rejestrowano aż 80 procent z liczby wszystkich zmarłych) i brać pod uwagę tylko osoby dojrzałe, które weszły w związki małżeńskie i pozostawiły własne gospodarstwo. Na podstawie naszych ksiąg metrykalnych możliwe jest sporządzenie drzewa genealogicznego nawet do dziesięciu generacji wstecz. A oto przykład – początek drzewa genealogicznego najliczniejszej rodziny w naszej parafii – rodziny Trzaskowskich.

Trzaskowski Andrzej ok. 1690–

Rozalia ok. 1715–

x Józef Urbański

Sebastian ok. 1718–

x Zofia Kielakiewicz

Konstancja 1752–1818

x Szymon Rebkowski

Antoni 1753–1820

x Agnieszka Kosek

1753–1839

2 synów

5 córek

Paweł 1757–1832

x Jadwiga Gawłowska

1765–1828

4 synów

2 córki

Jan 1763–1826

x Antonina Majewska

1781–1841

1 syn

1 córka

Ze skąpych danych źródłowych wynika, że rodzina Trzaskowskich mieszkała w Karczewie już w pierwszej połowie XVIII wieku. Pierwszy Trzaskowski o którym wiadomo, miał na imię Andrzej. Występuje on 28 października 1734 roku jako chrzestny ojciec, podając do chrztu syna Adama i Jadwigi małżonków Kowalskich – Andrzeja. Nie występuje on już nigdy w późniejszych aktach co może dowodzić, że musiał być już wtedy leciwym człowiekiem. W ówczesnych czasach rodzicami chrzestnymi bywali ludzie starsi i to nawet częściej niż młodzi, a więc odwrotnie do naszych czasów. Zwracając uwagę na to, że Andrzej był człowiekiem starszym i jedynym męskim przedstawicielem tej rodziny w tych czasach, musiał więc być ojcem Sebastiana, którego działalność przypada na lata późniejsze. Żona Sebastiana, Zofia z Kielakiewiczów powiła mu syna Jakuba (1740) a następnie córki – Zofię (1746), Ewę (1748) i niestety, w roku 1751 urywa się tekst jedyniej ocalałej księgi metrykalnej z XVIII wieku – księgi chrztów. Z wrywkowych danych z następnych lat wynika, że na przełomie XVIII i XIX wieku w Karczewie mieszka trzech braci Trzaskowskich, którzy już mają liczne rodziny i ich siostra Konstancja za Szymonem Rebkowskim. Nie ulega wątpliwości, że tych trzech braci Antoni, Paweł i Jan – to synowie Sebastiana. Mimo że Paweł zmarł w roku 1832 i znajduje się on w rejestrze zmarłych, w akcie napisano, że był synem nieznanym z imion rodziców. Zgłaszający zgon bratankowie, 33-letni Błażej i 27-letni Jan Trzaskowscy, nie znali imienia ojca zmarłego, który dla nich był dziadkiem.

Z trzech braci Trzaskowskich potomstwo po Janie wygasło wraz z jego dziećmi, natomiast po starszym Antonim i młodszym Pawle powstały dwa odłamy rodu Trzaskowskich. Antoni, zmarły w 1820 roku, miał siedmiu dzieci dorosłych, dwóch synów i pięć córek. Starszy syn Jakub z żoną Teklą z Marsiczów z garwolińskiego, mieszkał w Karczewie pod numerem domu 19. Gdyby idąc śladami królewskiej dynastii, w której korona przechodziłaby z ojca na najstarszego syna i gdyby brać pod uwagę tylko mieszkających w Karczewie, królem byłby piąty z rzędu potomek Jakuba – Sylwester Trzaskowski (ur. 1936 r.). Jakub pozostawił dwóch synów i trzy córki po których potomstwo żyje dziś w Karczewie. Młodszy syn Antoniego, Franciszek (1780–1844) miał kolejno trzy żony i mieszkał pod numerem domu 76. Pierwsza żona, Magdalenia z Dąbrowskich, powiła mu jednego syna i cztery córki, po których żyje potomstwo. Najstarsza córka Franciszka – Katarzyna, była żoną Jakuba Kwiatkowskiego a kiedy zmarła, jej mąż ożenił się powtórnie z jej macochą, czyli trzecią żoną swego teścia – 48 – letnią Franciszką, dla której Jakub był ju także trzecim mężem.

Antoni Trzaskowski był ojcem także pięciu córek. Najstarsza z nich, Marianna, żona Szymona Grzanki mieszkała pod numerem 101 i zostawała pramatką jednej z dwóch gałęzi karczewskich Grzanków.

Drugą córką Antoniego była Agata (1795–1854), którą poślubił starszy od niej o 18 lat Wit Kociszewski z Otwocka Wielkiego. To po nim żyje dziś w Karczewie wiele rodzin Kociszewskich.

Trzecia, kolejna córka Antoniego – Józefa żyła tylko 24 lata. Była żoną Jakuba Zelazki (1783–1836) i umarła podczas swego trzeciego porodu w marcu 1811 roku. Jeszcze w tym samym roku Jakub ożenił się powtórnie z Wiktoria z Majewskich, stając się założycielem licznych rodzin Zelazków w naszym mieście.

Ostatnimi dziećmi Antoniego były dwie córki–bliźniaczki urodzone 10 października 1799 roku. Jedna z nich – Jadwiga, poślubiła w 1819 roku Kacpra Zakrzewskiego, kawalera z Otwocka Wielkiego. Jej dorobek to siedmiu dorosłych dzieci, w tym czterech synów, po których mamy w Karczewie rodziny Zakrzewskich. Kacper zamieszkał pod numerem domu 18–tym, zajmując połowę domu. Drugą jego połowę zajmował starszy od niego o 23 lata ziomek Kacper Kociszewski. Druga z bliźniaczek, Franciszka (1799–1871) wyszła z a Łukasza Wojciechowskiego z zawodu paciornika, i mieszkała pod numerem 21. Także o 21 lat Franciszka przeżyła swego męża dając mu dziewięć dorosłych dzieci w tym sześciu synów. To po nich tyle rodzin Wojciechowskich w naszym mieście (nie licząc kilku rodzin przybyłych dużo później do Karczewa).

Druga, młodsza i o wiele liczniejsza gałąź Trzaskowskich pochodzi od drugiego syna Sebastiana, Pawła. Wraz z żoną Jadwigą z Gawłowskich – Paweł zamieszkiwał dom numer 80, i tu wychowało się jego sześćoro dzieci – czterech synów i dwie córki. Najstarszy syn Pawła, Alojzy (1798–1865) miał kolejno dwie żony. Z pierwszą żył lat dwanaście i pozostała po niej córka. Druga żona Apolonia z Majewskich powiła mu dwóch synów w domu pod numerem 75.

Drugi syn Pawła, Błażej (1801–1862) mieszkał blisko brata Alojzego (dom numer 80). Z żoną Marianną z Jarosińskich miał trzech synów i trzy córki po których dziś istnieje liczne potomstwo

Trzeci syn Pawła Krzysztof (1804–1863) z żoną Wiktoria z Trzepaków w niebawmy sposób przyczynił się do rozrodzenia się rodu a jego żonę z całą pewnością można by było nazwać matką Trzaskowskich. Wiktoria rodziła mężowi tylko synów, z których sześciu dożyło wieku dojrzałego i po których bardzo liczne potomstwo zamieszkuje dziś Karczew. Ostatni syn Pawła, Jan, urodzony 24 marca 1806 roku mając lat dwadzieścia jeden ożenił się z Anną z Dąbrowskich, która dała mu trzech synów i córkę (Paweł, Antoni, Agnieszka i Tomasz) po których żyje potomstwo.

Paweł pozostawił także dwie córki. Starsza – Ewa – miała dwóch mężów. Kiedy liczyła lat trzydzieści umarł jej pierwszy mąż Wojciech Wojdyga, założyciel tej rodziny w Karczewie. W 1814 roku wyszła powtórnie za mąż, za Mateusza Zalewskiego. Druga córka Pawła i zarazem ostatnie jego dziecko, Marcjanna (1809–1842) w 1828 poślubiła starszego od siebie o 10 lat kuśnierza z Puźnówki, Michała Teperskiego i zamieszkała z nim pod numerem domu 62. Pozostawili po sobie troje dorosłych dzieci. Dziś istnieją po nich znane rodziny Teperków.

Podsumowując dane i biorąc pod uwagę tylko męskich potomków po mieczu dochodzimy do wniosku że wszyscy mieszkający dziś w Karczewie Trzaskowscy to potomkowie Sebastiana. Sebastian był jeden, synów miał trzech a wnuków siedmiu, prawnuków natomiast o nazwisku Trzaskowski dziewiętnastu. Od tych dziewiętnastu jego prawnuków pochodzi dziesięć linii Trzaskowskich. Czy wiesz od której linii pochodzisz?

Zygmunt Zakrzewski
Na zdjęciu autor

Anna Olszewska od roku pisze do „Głosu Karczewa”. Znamy ją przede wszystkim z często kontrowersyjnych, ale zawsze ciekawych, artykułów. Anna jest bardzo oryginalną i inteligentną dziewczyną, pełną ciekawych pomysłów i trochę szaloną, ale to dodaje jej tylko uroku. Z pewnością jest jedną z bardziej interesujących osób jakie poznałem. Teraz także państwo mogą się o niej dowiedzieć czego więcej.

Przemysław Skoczek: O ile mi wiadomo studiujesz prawo, tak?

Anna Olszewska: Niezupełnie, jestem na architekturze.

P.S.: Naprawdę? zawsze mnie uczono, że trzeba być przygotowanym do wywiadu, a tu taka gafa na samym początku. Przepraszam.

A.O.: Nic nie szkodzi.

P.S.: Skąd wzięło się zainteresowanie architekturą?

A.O.: Już w podstawówce chciałam robić coś, czego nie robią inni, nie siedzieć w biurze. Zdałam egzaminy do technikum architektonicznego w Warszawie, bardzo mi się tam spodobало i wybór architektury



ANIA

NIE Z ZIELONEGO WZGÓRZA

Z Anną Olszewską rozmawia Przemysław Skoczek

był już logicznym następstwem. Bardzo też chciałam zdawać do PWST, na wydział aktorski. Miałam trochę doświadczenia, ponieważ grałam w szkolnym kabarecie, jednak przeraził mnie egzamin z historii teatru i zrezygnowałam.

P.S.: Nie wolno się tak szybko poddawać.

A.O.: Może masz rację, ale bardzo się bałam.

P.S.: Jakie masz plany na przyszłość, domyślam się, że chcesz pracować w zawodzie?

A.O.: Tak, oczywiście, chcę być architektem urbanistą, projektować domy jednorodzinne, osiedla. Poza tym stanowczo nie chcę być tylko architektem. Mam chyba za dużo energii, pasji. Przede wszystkim chcę niezależności. Muszę mieć oczywiście praktykę, ale potem będę miała coś tylko swojego. Zdradzę ci, że myślę o założeniu sklepu z ubraniami. Nie ze zwykłymi, ale jakimiś nietypowymi, szalonymi. Nie obrażając nikogo, nie mogę patrzeć jak się niektórzy ubierają, zwłaszcza dziewczyny. To takie smutne, chciałabym to zmienić. Mnie nauczyła tego mama i jestem jej za to bardzo wdzięczna. Moja młodsza siostra robi nam biżuterię, dużo rysuje. Chce w tym roku zdawać do liceum plastycznego, myśli o projektowaniu wnętrza. Mam nadzieję, że w przyszłości

będzie projektowała ubrania do mojego sklepu.

P.S.: Studiujesz architekturę i marzysz o sklepie z ubraniami. Skąd więc wzięło się zainteresowanie dziennikarstwem?

A.O.: Piszę, bo pomaga mi to odreagować codzienne napięcia. Próbuję podzielić się moimi spostrzeżeniami, poza tym lubię pisać. W dzieciństwie robiłam straszne błędy i nauczycielka kazała mi dużo pisać. Tak mi już zostało i nadal dużo piszę.

P.S.: Tematy wymyślasz sama czy może podsuwają ci je znajomi? Czytając twoje teksty mam wrażenie, że dokładnie się do nich przygotowujesz.

A.O.: Tematy z reguły znajduję sama, choć nieraz rzeczywiście wychodzą one z rozmów z przyjaciółmi. Korzystam wtedy z ich opinii i staram się przedstawić problem w szerszym świetle. Nie przeprowadzam jednak ankiet na terenie szkoły czy miasta.

P.S.: Z jakimi reakcjami spotykają się twoje artykuły? Musisz przyznać, że niektórzy z nich, na przykład ten zatytułowany „Jak się uczyć”, mogą się wydać moralizatorskie.

A.O.: Jestem tak „przekomentowana”, że nieraz zaczynam tego wszystkiego żałować. Ci, którzy mnie znają wiedzą, że staram się mówić i pisać to, co naprawdę myślę. Traktuję to naturalnie, a często sa-

mi się do danej sprawy przekonują. Rozumiem, że pozostałym przychodzi to trudniej. Zapewniam, że nie chciałam się wymądrzać i pouczać. Naprawdę sędzę, że moje uwagi mogą się przydać tym, którzy mają problemy w szkole, nie potrafią zorganizować sobie nauki. Jeżeli ktoś uważa, że to głupie i niepotrzebne, to już jego sprawa.

P.S.: Nie chciałbym być niedyskretny, ale czytelnikom mógł nasunąć się ten wniosek: czy w szkole byłaś, a może cały czas jesteś tzw. „kujonem”?

A.O.: Zawsze uczyłam się dobrze. W podstawówce mama dopilnowywała, żebym poświęcała nauce odpowiednio dużo czasu. Staralam się być aktywna, zgłaszałam się, a potem „jechałam” na opinii. W pierwszej klasie szkoły średniej przeszedłam etap buntu piętnastolatki. Nie chodziłam do szkoły, miałam dwóje na semestr. Potem trochę się uspokoiłam, ale cały czas przeżywałam trudny okres. Nie widziałam żadnego efektu tego, co robię, mieliśmy

przedmioty zupełnie się ze sobą nie wiążące. Dopiero w trzeciej klasie, kiedy zaczęło się projektowanie, które bardzo mi się spodobало, odczułam potrzebę sfumienia tego wszystkiego. Wtedy faktycznie zaczęłam trochę przykuwać, ale ten etap też mam już za sobą.

P.S.: Jesteś osobą spostrzegawczą, domyślam się, że lubisz obserwować ludzi. Na pewno zainteresuje cię informacja, że twój tekst, mówiący o tym co dziewczynom podoba się w chłopcach i chłopcom w dziewczynach, był wykorzystany na lekcji w klasie mojej mamy, która jest nauczycielką w szkole podstawowej. Wywołał spore emocje.

A.O.: To wspaniałe, bardzo się cieszę.

P.S.: Jak oceniasz dzisiejszą młodzież; karczewską, ale i ogólnie? Mówi się, że jest coraz gorzej.

A.O.: Staram się nie oceniać. Oczywiście myślę sobie to czy owo o ludziach, ale z reguły zostawiam to dla siebie. Przyjaciół wśród młodzieży karczewskiej nie mam. Nie chcę mówić na szczęście, albo niestety. Nie oceniam ich źle, po prostu nie znajduję tu osób, które by mnie zrozumiały, nawet w drobnych sprawach. Na przykład idę ulicą i słyszę – o, ta to się ubrała. To oczywiście nie strasznego, jednak o czymś świadczy. Poza tym dużo czasu spędzam w Warszawie, tam mam więk-

szość znajomych. Na przyjaciół staram się dobierać ludzi niekoniecznie szalenie mądrych i inteligentnych, ale interesujących, z którymi ciekawie spędzam czas. Gdy mam ochotę bawić się z nimi, ale mogę też porozmawiać o sprawach poważnych, o sztuce, lubię różnicowanie, to mnie napędza. Jeśli chodzi o współczesną młodzież, hm..., ja nie mam o niej takiego złego zdania, zwłaszcza, że sama do niej należę. Ludzie mają skłonność do przesady, głównie starsze pokolenie. Niech jednak przypomną sobie jak było, kiedy oni byli młodzi. Bardzo lubię dzisiejszą młodzież za to, że mimo, iż wszystko bardzo szybko się teraz dzieje, potrafią znaleźć sobie miejsce. Podziwiam ludzi, którzy obok pracy czy studiów, robią coś dodatkowo, mają jakieś pasje, hobby.

P.S.: Ty zajmujesz się czymś takim?

A.O.: W tej chwili poświęcam się wyłącznie architekturze, bo to dopiero pierwszy rok i nie chcę się zbyt rozpraszać. No, może przesadziłem mówiąc, że wyłącznie. Cały czas piszę, jak wiesz i trochę fotografuję, ale raczej tylko dla siebie.

P.S.: W przyszłości chcesz mieszkać w Karczewie czy „ucieć do wielkiego miasta”?

A.O.: „Wielkie miasto” mam o 50 min. stąd, jak jadę Ekspressem. Poza tym od sześciu lat i tak spędzam tam większość czasu. Bardzo mi się podoba, kiedy jadę do Warszawy, tam studiuję, chodzę po sklepach, idę do kina czy na wystawę, po czym przyjeżdżam tutaj. Wyglądam przez okno i widzę ośnieżone pole, las; idę po krzywej ulicy i to mi nie przeszkadza, wręcz przeciwnie. Takie życie mi odpowiada—praca w Warszawie, a mieszkanie na peryferiach. Jeśli się coś kreśli, rysuje czy pisze, potrzebny jest spokój, a tego w „wielkim mieście” nie znajduję.

P.S.: Wiesz już jaki będzie temat następnego artykułu?

A.O.: Chciałam napisać o ubraniach i nawet zaczęłam, ale nie czułam się dobrze w tym co pisałam i tekst wylądował w koszu.

P.S.: Dlaczego?

A.O.: Przychodzą moje koleżanki, ja chwalebę się swoją nową sukienką, a one mówią—Boże, w życiu bym w tym nie wyszła—. Trochę się bałam, że znowu ktoś pomyśli, że chcę narzucać swoje gusta i się wymądrzam.

P.S.: Spróbuj być obiektywna, pokaż różne punkty widzenia, w tym oczywiście też swój i tak będzie chyba najlepiej.

A.O.: Może tak właśnie zrobię, jeszcze nie wiem.

P.S.: Dziękuję za rozmowę i życzę powodzenia.

ANI NAIWNY ANI ŁATWOWIERNY

Ogromnie się cieszę, że mój krótki artykuł zamieszczony w nr 1 „Głosu Karczewa” spotkał się z takim zainteresowaniem i szybką odpowiedzią ze strony władz miasta. Jak z niej wynika, problematyka młodzieżowa w Karczewie dotyka wielu istotnych spraw i... dotyczy nie tylko młodzieży. Dyskusja, która się rozpoczęła, pozwala żywić nadzieję na zainteresowanie się władz gminy sferą kulturalno-rozrywkową w większym stopniu niż obecnie. Być może za jakiś czas Karczew będzie dumny nie tylko ze swoich corocznych festynów, ale także z innych przedsięwzięć.

Mojego optymizmu nie podziela pan Roman Skwara, którego artykuł „W co się bawic” przeczytałem w nr 2 „Głosu”. W swojej treści jest on skierowany głównie pod moim adresem, co sprawiło, że postanowiłem się odnieść do jego treści. Pan R. Skwara wplatając wątek polityczny, nawiązując do ostatnich wyborów prezydenckich, przedstawił mnie jako osobę młodą, łatwowierną, ufającą zapewnieniom „faceta w garniturze”. Według pana radnego — moje potrzeby i pragnienia dotyczące sfery kulturalno-rozrywkowej pojawiły się pod wpływem politycznych obietnic.

Nie wiem skąd pan Skwara wziął podstawy do tej subiektywnej oceny mojej osoby. Być może jest to wynik powyborczej frustracji przegranej własnego kandydata? Kategorycznie sprzeciwiam się formułowaniu tego rodzaju wniosków i jednocześnie informuję, że potrafię ocenić racjonalność wypowiedzi polityków, nie „kupuję” ich z taką łatwością i naiwnością!

Przechodząc do propozycji złożonych mi przez pana Skwarę, a tym samym złożonych

całej karczewskiej młodzieży, co do spędzania wolnego czasu, to śmiem zauważyć, że — mówiąc językiem biurowym — nie pokrywają one zapotrzebowania na kulturę i rozrywkę. Zarówno zajęcia w klubie Mazur, jak i w orkiestrze Straży pożarnej są przeznaczone raczej dla tych co są zainteresowani sportem i mają uzdolnienia muzyczne. Pozostali — czyli większość dalej będzie tkwiła w domach, próbując czasami różnymi sposobami walczyć z nudą.

Dużą szansę dla karczewskiej młodzieży mogłoby być obiekt mający znamiona klubu młodzieżowego (o którym wspomina pan burmistrz w wywiadzie udzielonym Przemkowi Skoczowski). Taki klub zespalałby różnorodne pomysły i potrzeby, pełniłby wiele funkcji. Ja liczylibym na spotkania z ciekawymi ludźmi ze świata kultury czy polityki, dyskusje, projekcje filmowe, przedstawienia teatralne i zupełnie zwyczajne spotkania młodzieży. Mogłaby tam powstać mała galeria, mogłoby mieć miejsce kameralny koncert, a nawet zabawa taneczna.

Do tego wszystkiego potrzebna jest wydadna pomoc władz miasta i podjęcie stosownych inicjatyw. Dla nas — młodych — byłoby to miejsce, gdzie „młodość mogłaby się wyszumieć”, ale przecież z tego klubu mogliby również korzystać dorośli. Chciałbym, sądzę że moi rówieśnicy także, usłyszeć na ten temat dalsze opinie nie tylko od władz gminy, ale także od innych mieszkańców Karczewa. Na razie towarzyszy mi świadomość osamotnienia, pomimo ustnego poparcia wielu koleżanek i kolegów oraz osób dorosłych. Sądzę, że takie opinie nadejdą do redakcji i zostaną opublikowane.

Sylwester Ruszkiewicz

AKADEMIA ŻEGLARSKA

Akademia ta działa pod egidą Fundacji Człowiek—Ruch—Przyroda. Jeżeli nigdy nie pływałeś, a coś cię ciągnie do wody... Masz szansę zarażenia się bakcylem żeglarsstwa. Akademia organizuje liczne kursy. Bazą jest Ośrodek Szkoleniowo—Wypoczynkowy „Wodnik” w Ryni nad Zalewem Żegrzyńskim. Kursy prowadzi firma Simko tel. 34-97-92.

Polecamy weekendowy kurs na stopień żeglarsza jachtowego. Maj — Czerwiec od 21.04 do 30.06 oraz Wrzesień — Październik od 01.09 do 27.10 br. Obejmuje on praktyczną i teoretyczną naukę żeglowania jachtem śródlądowym. Trwa w soboty i niedziele (19 spotkań), razem 120 godzin pływania. Koszt kursu — 300 zł, można płacić ratami. Pływanie odbywa się na jednomasztowych otwartopokładowych łódkach klasy Omega oraz kabinowych do 20m² żagla.

Akademia zapewnia też stacjonarne obozy szkoleniowe na stopień żeglarsza jachtowego. W tym roku odbędą się cztery obozy w lipcu i w sierpniu: 01—14.07, 17—30.07,

1—14.08 i 17—30.08. Zakwaterowanie w namiotach nad wodą. Zapraszamy młodzież od 10 roku życia. Koszt obozu 550 zł. W sierpniu organizujemy również obóz dla młodzieży i dorosłych: 1—14.08 z zakwaterowaniem w pokojach dwuosobowych z pełnym węzłem sanitarnym, zapewniamy trzy posiłki dziennie. Koszt tego kursu — 800 zł.

Wszyscy absolwenci kursów Akademii Żeglarskiej mają zapewnioną dożywotnią zniżkę na czarter jachtów z bazy akademii nad Zalewem Żegrzyńskim. Baza akademii oferuje także czarter jachtów na Mazurach, slipowanie, portowanie i zimowanie łodzi prywatnych oraz usługi szkunerskie i silnikowe.

Zapisy na wszystkie kursy prowadzą Państwowe Biura Turystyki Warszawa, ul. Kłopotowskiego 23/25 tel. 619-09-73, Ośrodek Szkoleniowy „Wodnik” w Ryni, ul. Główna 1, tel. 774-87-92

Wychowując się od dziecka w Karczewie trudno nam dostrzec w jego okolicach coś cennego pod względem przyrodniczym, krajobrazowym. Jesteśmy po prostu przyzwyczajeni do widoku pól, „nieużytków”, terenów nad Wisłą (łęgi), jak i lasu. To nasze przyzwyczajenie jest zapewne powodem chęci zagospodarowania tego, co z naszego punktu widzenia jest nieużyteczne i mało atrakcyjne, czyli wszelkiego typu „nieużytków”, czy jak kto inny woli „ugorów”. (Mam nadzieję, że w tym miejscu wiele osób zaprzeczy temu, że to jest ich punkt widzenia). Jednakże niech odwiedzi nas ktoś kto mieszka od dzieciństwa w blokowisku, z dala nawet od tych nie lubianych „nieużytków”, wtedy i one w jego oczach nabiorą wartości estetycznej, nie mówiąc już o nadwiślańskich łęgach, czy też polach ciągnących się od Karczewa hen daleko w stronę drogi Góra Kalwaria – Kołbiel, i dalej. Jeżeli pochwalicie się, że w planach jest zwirownia, kompleks handlowy na terenie „nieużytków” wokół Moczydła, wtedy wasz gość mocno popuka się w głowę i powie:

– Człowieku, czyś ty zwariował?

Są bowiem

„nieużytki” i nieużytki. Terenów nieużytecznych jest tak naprawdę bardzo mało, i nie są to zarosłe krzakami okolicie Moczydła (z których tej zimy korzystał gość zimowy z tundry – myszofłów włochoaty, oraz dziesiątki kuropatw, szczygłów i innej drobnicy) czy też wszystko co za wałem przeciwpowodziowym. W tym momencie przypomina mi się tekst jednego z członków redakcji, dotyczący postulatu „wysprzątania” lasu z mnóstwa suchych gałęzi, których nagromadzenie grozi pożarem. Idąc ideą tej myśli dalej najlepiej byłoby w lesie porobić chodniki i zebrać ściółkę z suchego mchu i igliwia, bo grozi to pożarem. Mamy więc dokonałą receptę na to, jak oszpecić otaczając nas krajobraz: – wszystko zagospodarować!

Powodów do poprawiania przyrody może być wiele:

- a to ptak nam narobi na głowę,
- a to mamy trochę cienia w oknie,
- tyle liści trzeba zamieść,

No to zetnijmy to drzewo, wytnijmy wszystkie krzaki bo za nimi chowają się pijaki itd.

Najgorsze jest jednak to gdy komuś

tak naprawdę nie przeszkadza oprócz tego, że nie mieszka w wielkim mieście, że nie ma u nas wielkich placów, bazarów, słynnych targów, centrów handlowych, czy też w końcu choćby tej nieszczęsnej zwirowni. Można się ze mną spierać, że to wszystko to miejsca pracy i pieniądze dla gminy, tylko że rachunek strat i zysków nie jest znowu taki oczywisty. Jak wycenić bowiem to, że dzisiaj mamy jeszcze gdzie pójść na spacer, pojeździć na rowerze, mamy gdzie odetchnąć i poobcować z przyrodą? Ile kosztuje widok ładnego krajobrazu, cisza i spokój? Powinniśmy raczej dbać o to wszystko co nas cieszy i wyróżnia (w sensie pozytywnym rzecz jasna).

Pewnego dnia możemy się obudzić i nie będzie gdzie iść, zostanie tylko oglądanie telewizji, praca, nauka, msza św., a zaraz po niej wódka. I za żadne krzaki nikt już się nie schowa pijąc wódkę i klnąc na życie pod waszym domem. Być może na koniec trochę przesadziłem, ale niektóre pomysły i plany powodują, że włos się jeży.

WŁOS SIĘ JEŻY

Swego czasu po nocce w Głosie Karczewa donoszącej o negatywnym nastawieniu radnych do powstania zwirowni, motywowanej troską o ochronę środowiska, czułem się dumny, że mamy takich mądrych i nieprzeciętnych radnych. Lecz jak to się mówi: – nie chwał dnia przed zachodem słońca.

Nie minęło wiele czasu, gdy wpadł mi w ręce nr. 2/96 Głosu Karczewa. Przeczytałem rubrykę BLASKI i CIE-NIE. Czego tam nie ma: deptaki nad Jagodzianką, zatoki na samochody, a może nawet większy parking, i gwóźdź programu – LODOWISKO. Muszę przyznać, że nie rozumiem pana H. Niedziutki, być może dlatego, że mam inny punkt widzenia. Na zamarnięte jeziorko przy stadionie nigdy nie było mi za daleko i gdy mogłem to tam chodziłem na łyżwy. Rozumiem, że może jest tam niebezpiecznie bo można się utopić, gdy łódź się załamie. Nie rozumiem natomiast dlaczego miejsce za strażą jest tak doskonałe na lodowisko, skoro jest tam „plac – czy jak kto woli park”. I co z tego, że teren jest dość równy, jezdnia też jest równa. Pomysłodawca lodowiska nie napisał,

być może zapomniał, że na tym „doskonałym” miejscu rosną „jeszcze” drzewa. Rosło ich wcześniej o wiele więcej, ale pewnego dnia, gdy wróciłem z wakacji mówę mi odjęło: – zobaczyłem „plac – czy jak kto woli park”. Upłynęło kilka lat i posadzono kilkanaście modrzewi, świerków i wierzb. Tego samego roku prawie wszystko to co nie uschło zostało zniszczone podczas imprezy zwanej „Pożegnanie lata” (a może były Dni Karczewa – już nie pamiętam), ale mniejsza z tym.

Ja naprawdę dużo rzeczy nie rozumiem, choć nie jestem, aż tak bardzo głupi. Pomyślmy chwilę nad krytyką, przez pana H. Niedziutkę, umiejscowienia zakładu pogrzebowego niedaleko szkoły. Daję sobie głowę uciąć, że dzieciom zakład ten nie przeszkadza i nie przypomina za każdym razem o śmierci. Myślę nawet, że jest im obojętny. Gdyby ukrywać zakłady pogrzebowe na peryferiach miasta, to co by się stało z samymi pogrzebami, przecież to one dostarczają nieporównywalnie większych i bardziej przy-

rych emocji niż s z y l d z napi-sem –

Zakład pogrzebowy. Czy one musiałyby chodzić peryferiami miasta, czy też w specjalnych tunelach?

Zastanawia mnie skąd pan H. Niedziutka bierze takie pomysły, być może brakuje mu owej „martwej ciszy”, której tak się boi. Ja proponuję, aby na słupie obok domu pana H. Niedziutki powiesić głośnik, będzie wtedy miał muzyczkę i zabawę na sto dwa, wtedy dopiero „Głos Karczewa” zostanie zasypany jeszcze bardziej wymyślnymi pomysłami prosto z kabaretu. A poważnie, to proponuję więcej refleksji nad tym co się chce ludziom zaprezentować. Jedynym źródłem pomysłów nie może być przecież kompleks, że nie jesteśmy metropolią. Czy nie wystarczy, że naprawdę mieszkamy w mieście, przecież u nas nawet gdy się biją (na „placu – czy jak kto woli parku”) to wyrrywają nie jakieś tam wiejskie sztachety z płota, ale deski z jak najbardziej miejskich ławek i to większość w jedną noc – na zakończenie lata (a może Dni Karczewa?)

Mirosław Rozenblicki

Ostatnim fragmentem ciuchci kursującej kiedyś na linii Karczew-Jabłonna, było połączenie Karczewa z Otwockiem, czynne do 31 marca 1963 roku. Drogę biegnącą dziś przy dawnych torach oddano do użytku w 1961 roku. Przedtem kręta i piaszczysta droga polna biegła na zachód od dzisiejszej szosy, łącząc oba miasta. Torowisko położone było na piaszczystych bezdrożach porośniętych choiną i jałowcem. Ciuchcia poruszała się wolno i z wolna przesuwały się słupy stojące przy torach. Przewożono w niej produkty masarskie na handel, a we wszystkich porannych kursach śpiewano „Kiedy ranne wstają zorze”.

Ten satyryczny wierszyk w humorystyczny sposób przypomni nam tamte czasy. Oczywiście zamieszczone imię i nazwisko jest przypadkowe. Nieco poważniej traktuje Ciuchcię opowiadanie.

POŻEGNANIE CIUCHCI

Chodzą Karczewiaczy, rozgłaszają
wszędzie

Że ich stara ciuchcia chodzić już
nie będzie.

Smuci się więc Ziutek – mówiąc do
Teperka

– czym będziem przewozić na
bazar żeberka?...

Bo ciuchcią baleron i schaby
i szynkę

Można było przewieźć w zimową
zadymkę.

Można było przewieźć także
w czerwiece parny

Kaszankę, salceson – i włoski
i czarny.

A w południe kiedy upał czoło
rosił,

Nerc lody sprzedawał, po
wagonach nosił.

... Za oknem jałowiec
i bezdrożny piach,

słup mignął czasami, a ciuchcia –
pach! pach!

Ta ciuchcia kochana wiele już
widziała,

Raz tyłem, raz przodem do celu
zdążyła,

Wozila rodaków po polach
bezdrożnych,

Bardzo pracowitych i bardzo
pobożnych.

Rankiem gdy do pracy jechali
po torze,

I śpiewali „Kiedy ranne
wstają zorze”,

I gdy tak do celu wolno
dojeżdżali,

Na odgłosy śpiewu w Otwocku
wstawali,

I witali ciuchcię – jak gdyby
pielgrzymkę.

Ten i ów wyskoczył, niósł pod
pachą szynkę.

I tak życie biegło równo,
jednostajnie.

Aż ktoś krzyknął głośno
– Z nami będzie marnie!

Bo nam nasza ciuchcia władzę
zabierają

I zamiast kolejki – autobusy dają.
Słychać tu i ówdzie gromkie na-
rzekanie

– Skończy się już handel, skończy
się śpiewanie.

Żegnaj nasza ciuchcio, tak się
z nami żyłaś

Do pracy, do szkoły, na bazar
woziłaś...

I smuci się Ziutek, lejąc tzy
na szynę.

Smuci się parowóz, kochany,
jedyny..

„Zet”

Urodziłem się trzy lata po wojnie, w małym domku przy ul. Gołębiej w Karczewie, gdzie rodzice wynajmowali pokój z wejściem od frontu. Numeru domu nie pamiętam, ale pamiętam, że był z czerwonej cegły, a obok stała figura Matki Boskiej. Mieszkaliśmy tam niezbyt długo. Pokój był ciasny, ogrzewany żeliwną kozą, na którą wpadłem kiedyś rozcinając sobie czoło między oczami, u nasady nosa. Ślad tego pierwszego wypadku noszę do dziś, w postaci niewielkiej blizny. W chłodne wieczory koza rozgrzewała się do czerwoności, a ja garnąłem się do niej jak ćma do płonącej świecy i absorbowałem uwagę mamy, która musiała rzucać swe domowe obowiązki i pilnować mnie, aby nie zrobił sobie krzywdy. Odciągała mnie od tej kozy dzień w dzień i dzień w dzień zadawała ojcu pytanie:

– Toleczku kiedy wreszcie przeprowadzimy się do jakiegoś porządniejszego mieszkania?

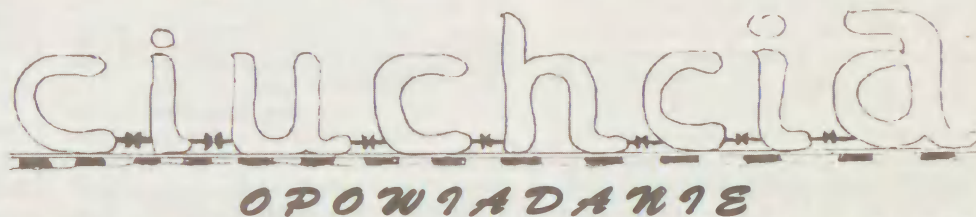
A ojciec tylko mocniej naciskał na pedał maszyny do szycia. Szyciem dorabiał do pensji, był ogrodnikiem w zakładach zieleni miejskiej w Warszawie, Turkot wystuzonego Pfaffa, kupionego od rosyjskiego żołnierza za pół listra spirytusu, zagłuszał słowa matki. Jednak pewnego dnia pod nasze mieszkanie zajechała furmanka. Obok woźnicy siedział ojciec i uśmiechał się jakoś tak sam do siebie. Mama stała w drzwiach, a ja bawiłem się w brudnym piasku ulicy Gołębiej. W oknie moja siostra, która w wolnych chwilach pomagała ojcu fastrygować czyjeś ubranie.

– No, Helenko, pakujemy się – krzyknął – znalazłem mieszkanie.

Przeprowadziliśmy się kilkaset metrów dalej, na ulicę Krakowską, pod numer siódmy, do nowe-

siałem zawsze być w zasięgu wzroku i głosu matki. Do miasta chodziłem tylko w towarzystwie osoby dorosłej. Byłem zależniony. Kiedy zostawałem sam na środku ulicy, wiedząc nawet, że matka czy siostra są obok w sklepie, ogarniało mnie przerażenie i zaczynałem potwornie płakać. Płakałem tak, aż do samego domu. Nawet później, kiedy zacząłem chodzić do szkoły podstawowej, mama odprowadzała mnie do klasy, ale kiedy ona chciała wyjść, bo zaczynała się lekcja, ja wychodziłem razem z nią. Godziłem się pozostać w klasie, kiedy mam obiecała mi, że przez wszystkie lekcje będzie siedziała pod drzewem na placu zwanym szkolnym boiskiem, abym mógł widzieć ją przez okno. Gdy tylko zniknęła z mojego pola widzenia, uciekałem przez okno z lekcji, by ją odnaleźć. Musiał upłynąć przynajmniej miesiąc, abym jakoś przywykł do szkoły i do tego pozornie samodzielnego życia poza domem.

Dziś nie mogę pojąć jak to wystraszone, trzymające się maminej sukienki dziecko przemogło paralizujący lęk i odważyło się pójść na stację Ciuchci oddaloną o jakieś pół kilometra. Może pomógł mi w tym Adaś, który mieszkał w dużym domu na rogu Krakowskiej i Mickiewicza i do zabudowań kolejki miał parę kroków? Adam w porównaniu ze mną był globtroterem. Miał tyle lat co ja, chodziliśmy później do jednej klasy, a znał już całe miasto i chwalił się, w co nie chciałem wcale uwierzyć, że sam odbył podróż Ciuchcią do Otwocka. Nie spytałem go już o to, chyba że kiedyś, gdy sam znalazłem się tam, gdzie on. Pamiętam jednak, że kiedy dotarłem na stację, kolejki nie było. Z boku na torach stał jakiś opuszczony wagon. Z czeluści hał wydobywały się różne odgło-



go domu, którego właściciele odstąpili nam pokój z kuchnią. Był to istny pałac, w porównaniu z tamką kłitką, prawie 50 metrów kwadratowych powierzchni.

Piasek na Krakowskiej był złocisty i było w nim pełno małych kamyków, które nazywaliśmy srulkami i z których świetnie strzelało się z procy. Na przecięciu Krakowskiej z Gołębią znajdował się wielki dół wypełniony wodą, obrosnięty trzinami i tatarakiem miejscami pokryty rzęsą i wielkimi liśćmi lilii wodnych, które wiosną zakwitały żółto i białą. Natomiast druga strona ulicy kończyła się budynkami z szarej cegły, które miały dziwne półokrągłe dachy, okna pełne małych, prostokątnych szybek i wielkie drzwi, które się nie domykały, a przez szpary wydobywał się czasami kłębiasty dym, jakieś syki i gwizdy napawające mnie lękiem tak wielkim, że dopiero po kilku tygodniach odważyłem się spytać ojca, co tam jest? I wtedy opowiedział mi o Ciuchci.

Miałem pięć lub sześć lat. Spędziłem je na robieniu babek z ulicznego piasku. Sam nie oddalałem się od domu na więcej niż 100 metrów. Mu-

sy, ale nie nie dymiło i nie syczało. Ludzi było niewiele. Już chciałem wracać, gdy usłyszałem rytmiczny hałas i zza szarych budynków parowozowni ukazała się lokomotywa otoczona wianuszkiem białego dymu. Zbliżała się powoli ciągnąc dwa czy trzy wagoniki, a ja stałem jak oczarowany i nie mogłem nawet ruszyć nogą. Stałem tak blisko torów, że gdy parowóz mijął mnie w żółtym tempie, mogłem niemal dotknąć jego stalowego pancerza, a kiedy Ciuchcia zatrzymała się, wypuściła z sykiem kłęb pary i otoczył mnie pachnący olejem i naftą ciepły obłok. Po chwili para opadła, a ja nadal gapilem się na wielkie koła pomalowane na czerwono, na tłum różnych rur i rurek biegnących wzdłuż kotła, na kielichowaty komin, z którego unosiła się cieniutka smużka dymu i zazdrościłem człowiekowi w wyszmelcowanym kombinezonie, który wyglądał przez owalne okienko i patrzył jak ludzie opuszczają pociąg.

Nie wiem jak długo mnie nie było na piasku przed domem, wiem tylko, że gdy dochodziłem do Krakowskiej, pod domem Adasia stał mój ojciec z różgą w ręku i rozglądał się wyraźnie zdenerwowany. Nie pamiętam czy wziąłem w skórę,

ale pewnie tak. Lano mnie często z różnych powodów, ale to nie jest istotne. Ważne, że od tamtego dnia zacząłem interesować się malarsstwem i techniką. Rysowałem wyłącznie pociągi i parowozy, dziesiątki zeszytów, które przynosiła mi siostra mamy, ciocia Marcela, zapętniałem dymiącymi lokomotywami. Aż kiedyś dostrzegłem, że ojca maszyna Pfaff to miniaturowa parowozu i wziąłem oliwiarke, która była w szufladce pod blatem i zacząłem wszystko smarować, rozkręcać i skręcać na swój sposób. Na słowa mamy lub siostry Ali: „zostaw tę maszynę w spokoju, bo dostaniesz”, zupełnie nie reagowałem i tak się zapamiętałem w uprawianiu kolejarstwa, iż nie dostrzegłem ojca powracającego z pracy. Widok maszyny nie tyle go rozświecał, co kompletnie załamał. Mój ojciec był może nawet lepszym krawcem niż ogrodnikiem, ale zupełnie nie wiedział, jak działa maszyna do szycia i co trzeba zrobić, aby przestała być parowozem i znów zaczęła szyc. Nie chciał jeść obiadu, nawet nie próbował mnie bić, tylko usiadł na krześle obok stołu do krojenia materiału, patrzył na przygotowane do zszywania, obrzucone przez siostrę fragmenty ubioru, kiwał głową i milczał. Wreszcie odwrócił wzrok na skrzynię z węglem, za którą siedziałem skulony i powiedział: „Masz to wszystko poskręcać zaraz, tak jak było, co do joty”. Możecie mi wierzyć lub nie, ale po pół godziny maszyna zaczęła działać. Miałem dobrą pamięć wzrokową, ułożyłem wszystkie blaszki i sprężynki w kolejności jaką zapamiętałem, a ojciec podregulował naciąg nici. Wtedy powiedział do mamy: „Z niego to chyba będzie mechanik”.

Po raz pierwszy nie dostałem batów za to, że nabroiliem, a na drugi dzień ojciec wręczył mi pudełko kredek świecowych i mogłem swoim pociągom malować koła na czerwono, a wagony na zielono i kolorować ubiory pasażerów wystających w otwartych oknach.

Jakiś czas potem mama nie pozwoliła mi iść na podwórko, chociaż było dopiero przedpołudnie. Przygotowała mi niedzielne ubranie, chociaż był środek tygodnia, kazała włożyć nowe buty z wyszywanymi czerwona nitką wzorami na czubkach. Sama włożyła jedwabną sukienkę w duże czarne kwiaty i lekki sweterek, pantofle z czarnego zamszu, jak wówczas, gdy szła do kościoła, tylko zamiast małej torebki na cieniułkim łańcuszku, wzięła ze sobą dużą torbę z dermy, w której nosiła z bazaru zakupy.

– Jedziemy do Otwocka – powiedziała. – Niebawem pójdziesz do szkoły, musimy cię do tego przygotować i odpowiednio wyposażać.

– Ciuchcia? – spytałem. Skinięła głową. Miała to być moja pierwsza podróż pociągiem. Trzymałem mamę za rękę i niemal ciągnąłem w stronę stacji. Wydawało mi się, że idziemy bardzo powoli. Mijaliśmy domy Kamińskich, Niedziółków, Bąków, restaurację na rogu Mickiewicza, weszliśmy na niski peron. Ciuchcia stała i sapała w oczekiwaniu na odjazd. Zdumiało mnie, że lokomotywa podłączona jest tyłem, to było jakoś wbrew logice. Narysowałem tysiące pociągów, ale nigdy na moich rysunkach parowóz nie ciągnął wagonów tyłem. Nie chciałem wejść do wagonu, czekałem, aż kolejarze odwrócą lokomotywę, tupałem nogami i płakałem, a mama, mając już dosyć moich hysterii, zawołała konduktora, który zaczął mi tłumaczyć, że wszystko jest w porządku. Ja nadal miałem jednak wątpliwości i wtedy podszedł do nas maszynista, ten sam, którego widziałem kilka miesięcy wcześniej i okazało się, że to nasz znajomy – to znaczy mamy i taty – że mieszka przy Gołębiej, obok domu, w któ-

rym się urodziłem. Nie pamiętałem jak się nazywał, ale nosił przezwisko „Mały Olek”. I on zaproponował, że zabierze mnie do lokomotywy, na co natychmiast przestałem płakać, a z kolei zaczęła oponować mama, przede wszystkim z obawy, że się pobrudzę. Obiecałem, że niczego nie będę dotykał i wsiedliśmy. Ja do parowoziku, mama do wagonu. Stałem w rogu i patrzyłem na dziesiątki kółek, które były kranami, na manometry i na ogień grający za niedomkniętymi drzwiczkami paleniska. „Mały Olek” objaśniał mi zasadę pracy silnika parowego, a brzmiało to jak bajka. Zapomniałem o mamie i zupełnie nie bałem się. Maszynista ustawił mnie na jakieś skrzynce, aby mogłem wyglądać przez małe okienko. Usłyszałem gwizd, syk pary puszczanej na tłoki i Ciuchcia potoczyła się wolno w kierunku Otwocka.

Boże, co to była za jazda. Parowóz rzucał się na wszystkie strony, jakby chciał uwolnić się z torów i ruszyć własną drogą, prychał i kichał, sapał, wzdychał, maszynista ciągle coś dokręcał, albo odkręcał i wycierał szmatką trzymaną cały czas w ręku. Przez otwarte okienka co chwilę wpadał dym z drobinkami popiołu i osiadał na moim brązowym ubranku, które stawało się coraz bardziej pstrokatę, jak deresz państwa Sosnowskich z których chłopcami przyjaźniłem się długie lata. Przez okienko widziałem, jak mijamy wozy konne ciągnące czarną żużlową drogą wzdłuż torów.

Przy ulicy Batorego w Otwocku zwolniliśmy i Ciuchcia już do samej stacji toczyła się w żółtym tempie. Niektórzy wyskakowali ze stopni wagonów, gdzie im pasowało, inni wskakiwali, aby podjechać paręset metrów. Tu, gdzie dzisiaj jest skrzyżowanie ulic Karczewskiej i Staszica, tory skręcały w lewo i przecinały brukowaną kocimi łbami jezdnię ulicy Karczewskiej, noszącej wtedy miano ulicy Dzierżyńskiego. I tu był jedyny na całej trasie szlaban. „Mały Olek” już na wysokości otwockiej mleczarni puszczał parę w gwizdek, dając znać drużnikowi siedzącemu w budce przy Staszica, że kolejka się zbliża i czas zamykać szlaban. I widziałem z daleka, jak potężny mężczyzna w czarnym mundurze, z czerwona chorągiewką, w ręku podchodzi do szlabanu i opierając się o niego całym ciałem pcha go, niczym kierat, aż oprze się o stalowy rygiel po drugiej stronie jezdni, a sam, salutując do daszka wymiętoszonej czapki, czeka, aż ostatni wagon przetoczy się przez przejazd.

W późniejszych latach wielokrotnie jeździłem Ciuchcią do Otwocka po prostu dla samej przejażdżki. Lubiłem siedzieć w kacie ławki i obserwować podróżnych, słuchać ich opowieści o udanych targach, o pomyślnych zakupach. Kiedy już zamieszkałem w Otwocku, gdzie rodzice wybudowali dom, okazało się, że moim sąsiadem jest otwocki drużnik, pan Czarnowski, to on pilnował szlabanu przy skrzyżowaniu Dzierżyńskiego i Staszica. Kiedy miałem czas, a było to na ogół w sobotę lub niedzielę i tego dnia wypadał dyżur mego sąsiada, spędziłem z nim do jego małej budki i z wielką radością pomagałem mu zamykać przejazd. Odkryłem też, że jeśli wejdę na dach naszego nowego domu i stanę na kominie, to mogę zobaczyć dym z komina parowozu Ciuchci miarowo przesuwający się nad czubkami niskiego wówczas sosnowego zagajnika, który oddzielał Kresy od Ługów. Gdy odwrócić się o 180 stopni, przy dobrej pogodzie będę widział złocącą się iglicę Pałacu Kultury, a pośrodku tej panoramy, tuż za Wisłą ujrzę czerwony komin papierni w Jeziornie. Lubiłem siadać

na dachu i gapić się w dal, marzyłem o lornecie, dzięki której mój słaby wzrok mógłby sięgnąć jeszcze dalej.

Do szóstej i siódmej klasy chodziłem już w Otwocku. I znów okazało się, że moja szkoła stoi opodal torów Ciuchci. Z okien klasy widziałem, jak toczy się, niczym dziecięca zabawka, po miniaturowych torach, jak starsi chłopcy zabawiają się wyskakując z ostatniego wagonu i wskakując do pierwszego. Chociaż kolejka jechała powoli, trzeba było być szybkim, aby tego dokonać, no i nie dać się złapać konduktorowi. W tej zabawie gustowali bowiem głównie gapowicze.

Kiedy zacząłem naukę w Warszawie, Ciuchcia zniknęła z mojego pola widzenia. Mówiąc szczerze zapomniałem o niej na pewien czas, mając nową fascynację – rower półwysięgowy Huragan, który dostałem po zdaniu do techniku. Ale skłonności do rysowania i malowania, rozbudzone widokiem Ciuchci, pozostały mi na całe życie. Nigdzie nie ruszałem się bez szkieownika. Pokochałem pejzaż, a dzięki wycieczkom rowerowym mogłem poznawać coraz nowsze obrazy. Rowerem tym zwiedzałem niemal całą Polskę.

W tym pamiętnym 1963 roku, nie czekając na pełnię wiosny, ostatniego marca, gdy jeszcze kupy śniegu leżały na poboczach, wyciągnąłem Huragana z komórki, naoliwiłem i wytarłem do sucha łańcuch, dopompowałem powietrza do sztyku i wybrałem się na krótką wycieczkę do Karczewa, do siostry Ali, która wyszła za mąż i zamieszkała w tym miasteczku. Na werandzie przed domem, mimo chłodu, siedział mój szwagier Nunek, a „Mały Olek” – znajomy maszynista tłumaczył mu coś szeroko gestykulując i co chwila łapiąc się rękami za głowę, jakby chciał ją przytrzymać na karku. Był lekko wstawiony, ale nie pijany. Zobaczył mnie i zawołał: „A ty co, miglansie, już się odkochałeś w Ciuchci? Wszyscy ją zdradzili, autobusów im się zachciało”. Zrobiłem zdziwioną minę.

– Ciuchcię likwidują – powiedział Nunek. – Zrobili asfaltową drogę z Otwocka do Karczewa i puszcza pekaesy.

– Kiedy likwidują? – spytałem tak na wszelki wypadek, ale bez zbytniej wiary.

– Od 1 kwietnia. Od jutra.

Popatrzyłem na nich z politowaniem i puknąłem się wymownie w czoło. Takie kawały primaaprilisowe? Nie ze mną. – To nie żarty – odrzekł cicho maszynista i zobaczyłem że oczy błyszczą mu tak, jakby miał się rozpłakać. – Dziś zrobiłem swój ostatni kurs – dodał. – Jutro wszystko rozbieramy i wywozimy, jakąś fabrykę chemikaliów mają tam zrobić czy coś takiego.

Nie wierzyłem. Wsiadłem na rower i po paru minutach byłem na stacji. Na peronie stał już moi koledzy ze szczenięcych lat: Adaś, Grzegorz, Andrzej i inni. Pod pachami trzymali duże puszki pełne karbidu. Przyszli po ten surowiec do wielkanocnej kanonady i dowiedzieli się że to ich ostatnia wizyta na stacji żywej Ciuchci. Od jutra będzie ona już tylko muzealnym eksponatem. Usiedliśmy na ławce pod ścianą poczekalni i w gęstniejącym mroku obserwowaliśmy, jak obcy ludzie już ładują na wielką Skodę ciężarową jakieś urządzenia, jak wózek widłowy dźwiga i ustawia na ciężarówce maszyny. Parowozów nie było widać, tylko z boku, pod ledwie żarzącą się latarnią stały trzy opuszczone wagoniki, jakieś takie przekrzywione, jakby zgarbione, smutne.

W pewnej chwili dostrzegliśmy, że papierosa w szybie wagonu. Najwyraźniej ktoś tam

był, ktoś siedział w środku. Nie mieliśmy odwagi, aby podejść i zobaczyć kto. Po chwili ogienek zgąst, a za moment ze stopnia zeskoczył kolejarz, gdy podszedł bliżej rozpoznaliśmy w nim konduktora, który nie raz dawał nam bilety do zabawy. nawet nie spojrzął na nas, tylko przy końcu peronu raz odwrócił się i zniknął za rogiem poczekalni. – Macie jakieś pieniądze? – spytałem i zdjąłem czapkę gestem, który widziałem na jakimś filmie. Każdy sięgnął do kieszeni, zabrzęczały moniaki. Starczyło na dwa wina owocowe „patykiem pisanie” i tanie papierosy – Płaskie, albo Damskie z długim ustnikiem i małą ilością tytoniu. Piliśmy prosto z flaszek i wspominaliśmy dobre lata, gdy wśród stacyjnych zabudowań bawiliśmy się w chowanego, kiedy objając monety o mury parowozowni graliśmy w cyka i kiedy kładliśmy na torach stare naboje znalezione w bunkrach pod Dąbrówką albo jak nas otoczy kibice obrzucali kamieniami, gdy Ciuchcią wracaliśmy z meczu Mazura wygranego z OKS-em.

– A pamiętacie jak jechaliśmy kiedyś pierwszą Ciuchcią, skoro świt, aby zjechać na pierwszy pociąg z Otwocka do Warszawy, bo przed szóstą mieliśmy ekspres do Krakowa? – spytał Adam. Pamiętaliśmy, bo była to jedyna wycieczka pociągiem, zawsze jeździliśmy autobusami i dzięki temu ujrzeliśmy i usłyszeliśmy coś niezwykłego. Gdy tylko Ciuchcia ruszyła, we wszystkich wagonikach rozległ się gromki śpiew: Kiedy ranne wstają zorze, Tobie ziemia, Tobie morze, Tobie śpiewa żywioł wszelki... I podjęliśmy tę pieśń i śpiewaliśmy ze wszystkimi i chyba najgłośniej ze wszystkich. Nieliczni przechodnie w Otwocku aż przystawali słysząc rozśpiewaną kolejkę i z niedowierzaniem kręcili głowami. Śpiewaliśmy dopóty, dopóki Ciuchcia nie zatrzymała się na stacji.

Wypiliśmy wino, wypaliliśmy papierosy i nagle ktoś wpadł na pomysł, aby oddać Ciuchci honorowy salut. Znaleźliśmy jakąś gazetę, wysypaliśmy karbid z jednej puszkii pozostawiając spory kawał tego gazotwórczego kamienia. Była to wielka, chyba trzylitrowa puszka po farbie. Z tak wielkiej nigdy jeszcze nie strzelaliśmy. Zrobiliśmy otwór w denku, każdy z nas zebrał ile mógł śliny i splunął na karbid. Przykryliśmy wieczko i Adam zatkał palcem otwór w denku, aby acetylen się nie ulatniał. Położyliśmy puszkę na peronie. Dwóch mocno przcisnęło ją nogami, a Adam owinał papierem patyk i podpalił z odległości, baliśmy się jednak efektu, przytknął płonący papier do otworu w puszcze. Rozległ się huk przepiętny, z okien ciuchcianych hal posypały się szyby, nas ogłuszyło lekko, ale zdołaliśmy uciec przed robotnikami, którzy wypadli gdzieś z czeluści wieczoru z drągami...

Było już dobrze ciemno. Wracałem pieszo, prowadząc rower, a może to on mnie prowadził, bo zbyt mocnej głowy wtedy nie miałem, kiedy minął mnie traktor. Pewnie bym go nie zapamiętał, gdyby nie to, że na otwartej platformie zobaczyłem w świetle latarni nowiutkie słupy przystanków PKS

Zbigniew D. Skoczek

Czego „nowego” oczekuje się od zawodników Mazura Karczew ?!

Jak to bywało dotychczas? Zawodnik mógł grać lub nie – to zależało od niego, od jego chęci, nastroju, albo od namowy trenera, kierownika czy też kolegów z drużyny. Oczywiście dotyczyło to zawodników z podstawowego składu, którzy w jakiś tam sposób gwarantowali utrzymanie drużyny Mazura w lidze międzyokręgowej. Swoich pozycji w bardziej lub mniej świadomy sposób pilnowali, bo było to nieodzownym warunkiem utrzymania w środowisku karczewskim pozycji „gwiazdy”, jak to się popularnie nazywa. Mechanizm ten powodował, że najzdolniejsi uciekali do innych klubów, szukając lepszych warunków pracy, a pozostali godzili się ze swoją rolą „Kopciuszka”, czekając aż wcześniej czy później nadejdzie ich czas „błyszczenia”, bo jakaś „gwiazda” spadnie z firmamentu.

I stała się rzecz nowa

Nowe, jak nam wszystkim wiadomo, jest interesujące, ale też niepokojące. Interesujące przez to, że może będzie ciekawiej i lepiej; niepokojące – bo może będzie gorzej. Nowe w Mazurze wprowadził nowy Zarząd z prezesem Jerzym Sychowcem. Prezes, mając wsparcie burmistrza Karczewa Mirosława Pszonki, jak też pozostałych osób Zarządu, zatrudnił nowego trenera oczekując od niego nowoczesnego, dynamicznego programu szkoleniowego, gwarantującego w szybkim tempie wzrost poziomu sportowego sekcji piłki nożnej. Określono konkretne cele dla poszczególnych drużyn, a w szczególności dla drużyn seniorów. I od 15 lipca 1995 r. rozpoczęliśmy pracę.

Dobra praca, jak mówił profesor Tadeusz Kotarbiński, twórca nauki o skutecznym działaniu, wymaga w pierwszym rzędzie wnikliwego rozpoznania warunków działania. Uważam że okres rundy jesiennej był tym czasem rozpoznawczym. Ale wróćmy do zawodników. Skoro wszystkim dano szansę uczestniczenia, większość z nich zainteresowała się tym programem. Był to zarazem pierwszy próg do przeskoczenia, czyli konieczność osobistego zgłoszenia się i wyrażenia chęci. Nikt nie prosił, nikt nie namawiał i to już dla niektórych okazało się nie do zaakceptowania.

Pozostali z ciekawością podjęli wyzwanie

Sparingi, testy sprawności fizycznej, badania wydolnościowe jak też wymóg systematycznego treningu – wyeliminowały następnych i w ten sposób stworzyła się grupa zawodników, która wyjechała na obóz do Błażewka. Kilku, nie mogą pogodzić się z dyscypliną i większym obciążeniem treningowym, zrezygnowało. Uważam że w piłce nożnej jest duża konkurencja i nie można tego sportu traktować na tzw. luzie, jeżeli – oczywiście – chce się odnosić sukcesy.

Dla utworzonej w ten sposób kadry zawodników zagwarantowano określone premie za wygrany mecz i przystąpiliśmy do rozgrywek.

Rozegraliśmy 15 meczów, z których:

– jeden przegraliśmy 0:2

– cztery zremisowaliśmy (dwa razy 2:2 i dwa razy 1:1)

– dziesięć wygraliśmy – w tym: różnicą jednej bramki – sześć, różnicą dwóch bramek – trzy i różnicą siedmiu bramek jeden.

Zdobyliśmy 34 punkty tracąc 11 pkt, strzeliliśmy 30 bramek tracąc 12. Zajęliśmy w I rundzie drugie miejsce ze stratą 2 pkt do lidera, mając 5 pkt przewagi nad trzecią drużyną w tabeli – Olimpią. Przy nowej punktacji, czyli 3 pkt za zwycięstwo i 1 za remis są to niewielkie różnice. Sytuacja w tabeli, jak też analiza statystyczna i jakościowa rozegranych meczów wymogła decyzję o dalszym wzmacnianiu zespołu. Uwzględniliśmy również informacje o ruchach czynionych przez konkurencję, która wytoczyła sobie te same cele. A wiadomo, że tylko pierwsze miejsce gwarantuje awans.

Pozycja Mazura w tabeli jest też – patrząc z innej strony – o tyle korzystna, o ile gwarantuje w 100% awans, jeżeli wszystkie mecze w drugiej rundzie rewanżowej zostaną wygrane. Jedyny problem, to stworzenie zespołu potrafiącego tego dokonać. Wychodzę z założenia, które potwierdza doświadczenie, że mistrzostwo drużyny zależy w głównej mierze od mistrzostwa pojedynczego gracza, powróćmy więc do analizy zawodników, by odpowiedzieć na pytanie postawione w tytule.

Sytuacja zawodników Mazura diametralnie się zmieniła. Posłużę się tu porównaniem, ażeby to, co dla niektórych jest zawiłe i niezrozumiałe, okazało się proste i logiczne. Jeżeli ktoś uprawia sport z pobudek rekreacyjno-zdrowotnych, to sposób postępowania określa sam. Jeżeli natomiast sport jest dla niego płaszczyzną rywalizacji noszącą znamiona zawodowstwa – poprzez wsparcie organizacyjno-finansowe – to sposoby postępowania są mu narzucone. W obu sytuacjach decyzja o uprawianiu sportu należy do zainteresowanej osoby, lecz w pierwszym przypadku o sposobie zachowania i postępowania decyduje kultura osobista i wychowanie, a w drugim – przyjęty cel!

W obecnym sezonie określono bardzo wysokie cele dla drużyn seniorów, wobec tego wymagania w stosunku do zawodników muszą być podobne. Ludowe przysłowie mówi: wybrać się z motyką na słońce, czyli jest bez szans, gdyż niewłaściwie dobrał środki do realizacji zamiaru. Wysokie cele są atrakcyjne i chętnie je przyjmujemy, ale o wiele trudniej jest nam nauczyć się nowego postępowania. Dla niektórych siła starego przyzwyczajenia jest tak duża, że na dłuższą metę nie są w stanie podporządkować się dyscyplinie i nowym obowiązkom. Będą więc odpadać z rywalizacji o miejsce w drużynie, co otworzy szansę młodemu, głodnym sukcesu zawodnikowi. Lecz ci młodsi muszą robić postępy, ażeby ich pozycja w drużynie rosła. Na przeszkodzie w tym dążeniu do postępów staje jednak zwykłe ... niecierpliwość. Jest to taka skaza charakterologiczna, która hamuje postęp, wywołuje zniechęcenie, pobudza do szukania innych łatwiejszych dróg. W efekcie prowadzi to do spowolnienia rozwoju zawodnika, a w ekstremalnym przypadku – do rezygnacji. I ci niecierpliwczy też nie „załapią” się do żadnej dobrej drużyny nieświadomie tracąc swoją szansę.

By być dobrym zawodnikiem trzeba mieć po pierwsze trochę talentu, a po drugie – dużo siły i samoparcia, by się pięć na szczyty. W plan zajęć, który otrzymali zawodnicy, została wpisana taka sentencja:

Abyś mógł zwyciężyć, musisz posiadać:

- silne, zdrowe ciało
- spokojne wnętrze
- jasność umysłu
- zrównoważoną psychikę.

Jeżeli chcesz te cechy osiągnąć, musisz iść drogą wyrzeczeń.

Jest to droga niełatwa, ale czy jest inna? Przysłowie mówi: kto chce być wszędzie, ten nigdzie nie będzie... kimś.

trener S. Giedrys

Terminarz spotkań Międzyokręgowej Ligi Seniorów II runda wiosenna 1996

I. Błękitni – Mazur sob. 16.03.96 godz. 11 w Raciążu

II. Mazur – Wkra Żuromin s. 32.03. g. 15 w Karczewie

III. Mirków – Mazur s. 30.03. g. 15.30 w Jeziornie

IV. Mazur – MKS Ciechanów s. 6.04. g. 12 w Karczewie

V. Sarmata – Mazur s. 13.04. godz. 11 w Warszawie

VI. Mazur – Narew Ostrołęka s. 20.04. g. 16 w Karczewie

VII. Marymont – Mazur s. 27.04. g. 11 w Warszawie

VIII. Mazur – Makowiana śr. 1.05. g. 17 w Karczewie

IX. Tęcza – Mazur s. 4.05. g. 15 w Płońsku

X. Mazur – MKS Przasnysz s. 11.05. g. 17 w Karczewie

XI. Start – Mazur niedz. 18.05. g. 15 w Działdowie

XII. Mazur – Wicher Kobyłka s. 25.05. g. 17 w Karczewie

XIII. Pogoń – Mazur s. 1.06. g. 16. w Grodzisku Maz.

XIV. Olimpia – Mazur s. 8.06. g. 16 w Warszawie

XV. Mazur – Huragan Wołomin s. 15.06. g. 15 w Karczewie

Mistrz MLS – awansuje do III ligi.

Wicemistrz rozegra 23 i 29 czerwca mecze barażowe z mistrzem OZPN Suwałki.

Drużyny zajmujące miejsca 3–11 awansują do IV ligi. (stan)

Wydawca: Zarząd Miasta i Gminy Karczew. Adres redakcji: Karczew, ul. Warszawska 28, tel. 779-63-30

Redaguje zespół: Mirosław Dąbrowski, Krzysztof Kasprzak, Henryk Niedziulka, Anna Olszewska, Jacek Sawczuk (z-ca red. nac.), Zbigniew D. Skoczek (red. nac.), Przemysław Skoczek, Roman Skwara, Teresa Trzaskowska (sekretariat)

Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów. Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.

Druk: **S-Druk**: Karczew, ul. Armii Krajowej 24b, tel./fax 779-61-85, Przygotowała: **CRAVID DTP** tel./fax 663-77-59, 663-78-64



Niebawem zaczyną się emocje piłkarskie. Barw gminy, poza drużynami Mazura, będzie bro-
nił także zespół „Vistula” z Nadbrzeża. Trzymamy kciaki za wszystkich! I wierzymy w liczne
zwycięstwa.